

Za miesiąc
— 11 lutego br.
rozpoczyna się
VIII Zjazd
PZPR

WARSZAWA (PAP) — Już za miesiąc — dn. 11 lutego br. zgodnie z postanowieniem XVI Plenum KC PZPR — rozpoczyna się w Warszawie obrady VIII Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Trwające od kilku miesięcy przygotowania do Zjazdu znajdują się w ostatnim etapie. Dobiegają końca wojewódzkie konferencje sprawozdawczo-wyborcze PZPR, trwające jeszcze konferencje partyjne w okre-

ciąg dalszy na str. 1

magazyn

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 9 (8985)

Białystok — Łomża — Suwałki, 11—12—13.1.1980 r.

Nakład: 216.920

Cena 1 zł

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się



Swoj
Jubileusz
Teatr
Dramatyczny
uczcił m. in.
wystawieniem
„Wesela”
Stanisława
Wyspiań-
skiego.
NA
ZDJĘCIU:
Joanna
Ładysława
(Panna
Młoda)
i Wojciech
Pisarek
(Pan
Młody).
Fot. Roman
Sienko

Z okazji Jubileuszu 35-lecia wszystkim pracownikom Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki samych udanych premier, zawsze pełnej sali i zadowolenia z wykonywania pięknej, pożytecznej pracy

życzy
Zespół redakcyjny „GAZETY WSPÓŁCZESNEJ”

Tradycyjnie — w Nowym Roku

Spotkanie H. Jabłońskiego z członkami korpusu dyplomatycznego

WARSZAWA (PAP) — W salach Pałacu w Wilanowie odbyło się 10 bm. wieczorem tradycyjne noworoczne spotkanie przewodniczącego Rady Państwa HENRYKA JABŁOŃSKIEGO z członkami korpusu dyplomatycznego.

Zwracając się do dyplomatów, Henryk Jabłoński nawiązał do zakończonych pomyślnie rozmów SALT II i podpisania odpowiedniego porozumienia między ZSRR i USA i wyraził nadzieję, że odroczenie debaty ratyfikacyjnej w Senacie Stanów Zjednoczonych będzie krótkotrwałe i zakończenie jej będzie zgodne z oczekiwaniami tych wszystkich, którzy wierzą w przyszłość świata bez wojny i kosztownego wyścigu zbrojeń. Tu, w Europie — powiedział — nie brakuje starań, by utrwalic odprężenie, rozwijać dialog polityczny, wymiary i współpracę między sygnatariuszami Aktu Końcowego KBWE w różnych dziedzinach i na różnych szczeblach.

Henryk Jabłoński podkreślił, że Polska pozostała w swej polityce wierna pokojowej linii postępowania, zorientowanej na umacnia-

nie bezpieczeństwa w Europie i — w miarę naszych możliwości — w świecie, na wszechstronny rozwój współpracy międzynarodowej, utrwalanie w niej zasad równości, sprawiedliwości i wzajemnych korzyści, na zahamowanie wyścigu zbrojeń.

W imieniu szefów misji dyplomatycznych serdecznie podziękował za ciepłe słowa i serdeczne gratulacje z okazji Nowego Roku dla członków korpusu dyplomatycznego, ambasador NRD Guenter Sieber.

Mówca nawiązał do 35-lecia Polski Ludowej, stwierdzając, iż w ciągu tego okresu w PRL zaszły zasadnicze zmiany, sprawiające, że życie mieszkających stają się piękniejsze i bogatsze. Były to zarazem lata pokoju dla Polski i Polaków, którzy w przeszłości tak ciężko zostali doświadczeni. Nawiązał też do mając-

cej w 1980 r. 35 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem hitlerowskim podkreślając, że od 35 lat narody naszego kontynentu żyją w pokoju. Nigdy dotąd — oświadczył — ludzie naszych krajów nie pragnęli tak bardzo utrzymania tego, co stworzyli w ciągu ostatnich 10-leci w dziedzinie postępu politycznego i społecznego. Wszyscy ludzie dobrej woli na świecie jednoczą się w żądaniu podjęcia skutecznych kroków mających na celu zakończenie wyścigu zbrojeń, oczekując kontynuacji i pogłębienia odprężenia politycznego i uzupełnienia go odprężeniem militarnym.

W imieniu korpusu dyplomatycznego przekazał przewodniczącemu Rady Państwa, naszemu krajowi i wszystkim jego obywatelom życzenia dalszych sukcesów oraz życia w pokoju.

Ślupsk Rzeszów WOPK

Wojewódzkie konferencje PZPR

WARSZAWA (PAP) — 10 bm. odbyły się wojewódzkie konferencje sprawozdawczo-wyborcze PZPR w RZESZOWIE i ŚLUPSKU.

Z udziałem członka Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR STANISŁAWA KANI, obradowała tego dnia sprawozdawczo-wyborcza konferencja partyjna w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju.

W konferencji w Rzeszowie uczestniczył członek Sekretariatu KC PZPR ZBIGNIEW ZIELIŃSKI.

ŚLUPSK (PAP) — Wszec-

jego zaangażowania w pra-

cy dla regionu kraju — to

- 577 prac z całego kraju
- Obywatelski obrachunek osiągnięć i braków
- Świadczenie lat siedemdziesiątych
- Odważna szczerość i bezkompromisowość wypowiedzi

Ogólnopolski konkurs „OBLICZA WSPÓŁCZESNOŚCI” — rozstrzygnięty

Płon ogólnopolskiego konkursu „Gazety Współczesnej” i Państwowego Wydawnictwa „Iskry” na zwierzenia-refleksje p.n. „Oblicza współczesności” przeszedł najśmielsze nasze oczekiwania. Taką jest ocena organizatorów, także też jury konkursu.

Otrzymał 577 prac z całego kraju. Nadesłali je reprezentanci wszystkich województw, wszystkich pokoleń, wszystkich grup społecznych. Ich zwierzenia, ich refleksje ukazują jakże wnikliwie i szczerze oblicza Polski lat siedemdziesiątych. Jest to głos pełen autentyzmu i troski obywatelskiej o sprawy dla Polaków najważniejszych.

Każda z 12 tys. stron, bo tyle liczy płon konkursu — przynosi ciekawą zapis codzienności, z jej powikłaniami, radościami i przemysleniami. Przeto lektura pamiętników wymagała równej rzetelności w ocenie. Dlatego też dwukrotnie musieliśmy termin rozstrzygnięcia konkursu przesunąć, by mieć pewność najtrafniejszego wyboru najlepszych prac. I za tę zwłokę przepraszamy.

co wybacza nam autorzy prac i czytelnicy.

Jury w składzie: doc. dr hab. Bronisław Golebiowski — przewodniczący, poseł — Jerzy Grzybowski, doc. dr hab. Włodzimierz Pawluczuk, red. Stanisław Pogorzały — sekretarz jury, Jan Socha i Stanisław Zagórski postanowiło rozdzielić nagrody w sposób następujący:

I nagroda w wysokości 15 tys. złotych — JANINA ŁUKASZ — technik-rolnik, Rogów, woj. łęczyński.

II nagroda w wysokości 10 tys. złotych — TADEUSZ CIEWIEK — działacz społeczny z Kielec

III nagroda w wysokości 5 tys. złotych — MARCIN DZIUBEK, rolnik rencista z Żukowa, woj. zielonogórski.

Nagrody specjalne wojewódów po 7 tys. zł:

* białostockiego — MICHAŁ

BOLTRYK, student urodzony we wsi Boltryki, woj. białostockie.

* łomżyńskiego — GENOWEFA CHYCYŃSKA, nauczycielka z Łomży

* suwalskiego — HENRYK SMOLSKI, maszynista PKP na rencie z Elku.

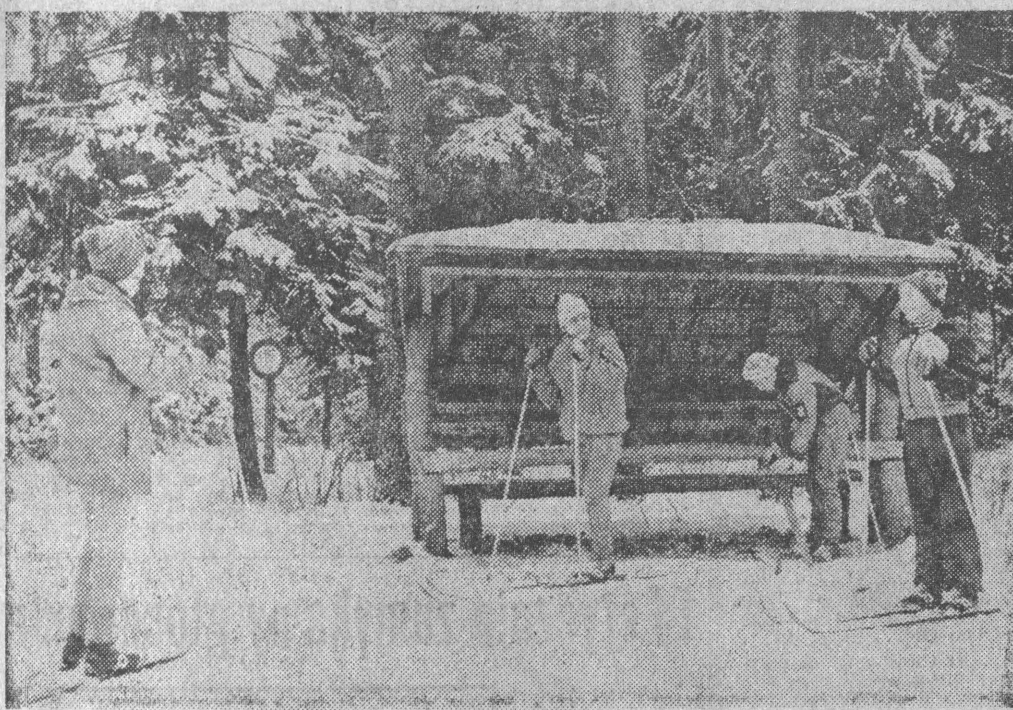
12 wyróżnień po 2 tys. złotych: Roman Czekaj — Kraków, Elżbieta Daniszewska — Knyszyn, woj. białostockie, Bronisław Filas — Siedlce, Mirosław Frycz — Starachowice, woj. kieleckie, Teresa Gierszewska — Mroczno, woj. toruńskie, Tomasz Gruzewski — Olsztyn, woj. suwalskie, Tomasz Jaroniński — Warszawa, Alicja Młynarczyk — Grębów, woj. tarnobrzeskie, Lucjan Rak — Myslowice, woj. katowickie, Halina Lubicz-Trawkowska —

Warszawa, Cecylia Uselis — Dąjny, woj. olsztyńskie, Leon Wiśniewski — Dębno Lubuskie, woj. gorzowskie.

Nagroda Państwowego Wydawnictwa „ISKRY” (zestaw książek) — Jadwiga Bokuniewicz — Babki Gąseckie, woj. suwalskie.

Laureatom serdecznie gratulujemy, zaś wszystkim uczestnikom konkursu dziękujemy za ogromne zaufanie, jakim obdarzyliście Redakcję, tak licznie odpowiadając na nasz apel i zapotrzebowanie społeczne.

W numerze drukujemy spisane na gorąco refleksje przewodniczącego jury — doc. dr hab. Bronisława Golebiowskiego, a także i część raportu autobiograficznego Michała Boltryka, wyróżnionego nagrodą Wojewody Białostockiego, zaś drugą część opublikujemy w numerze poświęconym „GW”. Pozostałe nagrodzone prace oraz wiele innych, najbardziej wartościowych zaprezentujemy Czytelnikom na łamach naszej „Gazety”.



Na narty do Puszczy Rominckiej — artykuł „Gołdap — Zakopane Północy” na str. 4—5. Fot. Zdzisław Lenkiewicz



Michał Boltryk

Exodus

Chodziłem od domu do domu niczym wędrowny kramarz. Lecz nie nie miałem do sprzedania. Oczekiwano ode mnie porad. A ja sam pytałem. Więc pospół, głośno, zastanawialiśmy się nad najważniejszym dla nich. Gdzie będą i jak to będzie?

Glenia, spod numeru 47 — sąsiadka moich rodziców — wyjechała z mężem do Michałowa. Zaraz po wykopaniu kartofli. Już jest miastem. O wszystkim, co związane ze wsią, mówi w czasie przesiady.

— Parę minut przed ostatecznym wyjazdem — zwierza się — płakałam w już pustym domu, bo prawie cały dobytek wywieźliśmy. A teraz, przyjadę tu, popatrzę na wszystko i wyjdę mi się, że to obce. Ciągnie do domu tamtego — w Michałowie. My z Kosią przyzwyczajaliśmy się. Mamy tam kury, świnię, konia. Tylko kot nie chciał zmienić miejsca. Wziął go, bo był taki ładny i duży, i Szura bardzo go lubił.

Kota wiozłam w taksówce. Jazdę przez wiesi znośli spokojnie. Za Boltrykami zaczął miauczeć patrzeć to na mnie, to na kierowcę. W miarę oddalania się nie można było wprost wytrzymać od tego jęczenia. W Michałowie, po wypuszczeniu z koszyka, zaczął szaleć po całym domu, w sieni, w komorze. Wybiegł na dwór. Patrzyła sama gospodyni, ten sam gospodarz, a wszyscy nowe. Wpuściłam go do konia. Trzy razy wychodziłam z domu i za każdym razem odzywał się głośnym jękiem. Szura przyjechał na urlop z wojska w niedzielę i już kota nie zastał. Gdzieś przepadł. Od tego czasu nie pojawił się. Myślałam, może przybiegł do Boltryka. Ale nie, nie widać.

Jest niedziela. Siedzimy u Smygi. Glenia właśnie przyjechała z Michałowa, pochodziła po podwórku, pozagładała do wszystkich zakamarków. Kota nie ma. I zaszła tu, żeby się ogrzać przy piecu, bo w swoim dawnym do-

mu jest zimno. Zabrała stąd plik gazet („Gromada Rolnik Polski”) prawie z całego grudnia, które to jeszcze im listonosz przynosi. W listopadzie nie wiedzieli, że wyjadą. Planowali tak: Kosią przez rok będzie jeszcze tu, a ona tam. Wiecej jeszcze zaprenumerowali gazetę.

Rozmawiamy A jak rozmowa to teraz tu o niczym innym tylko o wyjazdach z Boltryka, Glenia, a propos tego, wypowiada kwestię filozoficzną: „to tak jak wiesz, że trzeba umierać — tak i trzeba wyjechać”. Wiecej wyjechali i już. W sukurs jej idzie i Smyga. Jak każą wyjechać to potrzebne im. Jak potrzebne, to potrzebne. Wiecej trzeba wyjechać i nie ma co. I mówią to z takim przekonaniem, że wszelkie zastanawianie się, komu to potrzebne i po co, byłoby już w obecności tych ludzi zupełnym nietaktem. Wiadomym przecież jest, że robi się tylko to co potrzebne. Tylko, że pod koniec Smyga jakby przygał i z zalem: „żeby tylko dom dał, przecież mam wpłacone na blok”.

Glenia nie może siedzieć dłużej. Musi zdążyć na autobus — ma jutro rano do pracy w fabryce włókienniczej. Pracuje. I dlatego przyjechała w niedzielę, a nie w innym dniu.

Kosią na początku tylko spał, żeby odespać nieprzespane noce na wsi. Później zaczął się męczyć bez roboty. Tak było przez miesiąc. Teraz ma pracę. Stróżuje 16 godzin i ma później 32 godziny wolnego.

Dziś tu — w Boltrykach — stoi jeszcze wszystko jak dawniej. Budynki te same i takie same, tylko że puste w środku, ale za to ze skobami na wszystkich drzwiach. Przedtem zaś, za pełnione ludźmi, przedmiotami, byciem i zawsze bez klódek, bo tu zazwyczaj

nie zamykano niczego. Jeszcze leży o-bok plotu przy drodze kilka tur kamieni, które przywoził Kosią z pola przy okazji. Może na coś się zdadzą. Tylko, że teraz trzeba byłoby je stąd jeszcze dwadzieścia kilometrów stąd. Jeszcze stój ławeczka, na której siedział — rzadko, jak rzadko miał wolne chwile — gospodarz-Kosią. A przed nim jego ojciec — dziadek Stiepan.

Jak daleko sięgam pamięcią, dziadek Stiepan zawsze na wiosnę pojawiał się na tej ławce w kożuchu — co było przez nikogo nie kwestionowaną oznaką nadchodzących ciepłych dni. Kożuch ten służył mu do pierwszych dni upalnych. Gdy nadchodziły dni gorące, dziadek Stiepan rzucił go i już chodził — często — w samych kaletkach i białej koszuli. Prawdę mówiąc mniej chodził a więcej przesiadywał pod płotem trzymając w ręku kulase, a w zębach — fajeczkę. Dookoła niego kręciła się chmara dzieciaków z hrebli (tak nazywanej tej części wsi), chociaż wszyscy się go baliśny. Najbardziej chłopcy, bo groził, że utnie im sierpem pewną część ciała. Ale dziadek miał nierzadko gest. Robił nam w swojej kuźni szczyryki ze znalezionej kawałków żelaza. U niejednego z nas ponieważ się pewnie gdzieś tam na wsi, na strychu, taki zarzadziły szczyryki, chociaż nie ma tam już ani nas, ani dziadka. Z tymi co chodzili do szkoły dziadek prowadził poważne rozmowy — rzekłbym dyskusje, które przerywał natychmiast, gdy słychać było turkot zbliżającego się żelazniaka. Zagadywał przejeżdżającego sąsiada. Pytał o różne rzeczy, o których wiedział od dawna. Fałda rozmowa kończyła się jednym i tym samym pytaniem — czy aby przejeź-

dający nie ma, przypadkiem, machorki albo też papierosa. Otrzymywał machorkę, nam mówił, że to dobry człowiek, sam zapalał fajeczkę i znowu wracał do przerwanej myśli.

Ostatnim wielkim tematem rozpatrywanym wielokrotnie z moim dziadkiem Winikiem i nami, pamiętam, był zbliżający się koniec świata, który miał nastąpić według dziadka Stiepana w roku 1961. Dowód owej katastrofy był bardzo prosty i zarazem przekonujący — jeśli odwrócisz te cyfry do góry nogami, to też będzie 1961 rok. Nam i dziadkom to w zupełności wystarczało. Czekaliśmy zbliżającego się końca.

Skaranie boskie miało z doświadczeniem jego żona, Agatka, nie wiem czemu nazywana zawsze zdrobniale, zamiast Agata. Całe życie kłóciła się, a najczęściej o pieniądze na papierosy, czy machorkę. Gdy nie było pieniędzy, dziadek podkradał jajka i dawał wnuczkom swoim by kupili mu papierosy. Agatka, w ostatnich latach życia prosiła Boga tylko o to, żeby chociaż przez rok pożyć bez niego — Stiepana.

Dziadek Stiepan umarł wcześniej. Agatka jeszcze żyła 5 lat w potwornych męczarniach, właściwie przytuta do łóżka przez reumatyzm nóg i rąk.

C o będziemy robić? „Oj tak, bracie, nad tym trzeba dobrze się zastanowić” — mówi Kardasz Stefan. Wiecej myślimy: głośno, wspólnie. Kardasz, żona jego i ja.

— Siedzieliby się już na miejscu, bo przecież nigdzie nie ma dobra.

— Ludzie w mieście też żyją — wtrącam.

ciąg dalszy na str. 1

Konferencje wojewódzkie PZPR

I sekretarz KW PZPR w Rze-

Kolejny po „Konflikcie współczesnym” konkurs „Gazety Współczesnej” na pamiętnik, dziennik, wypowiedź autobiograficzną, ogłoszony w zwięzłą z 35-leciem Polski Ludowej pod hasłem „Oblicza współczesności” przeszedł rok temu, przyniósł imponujący plon w postaci 577 prac z całego kraju. Lektorzy prac i sąd konkursowy, któremu miałem zaszczyt przewodniczyć, zgodnie podkreślają wysoką wartość poznawczą, społeczno-polityczną, publicystyczną, dokumentalną i pisarską (niezależnie od literacką) większość prac. Uderza w nich szczerść, szeroki wachlarz problematyki, odwaga i rzetelność w podnoszeniu spraw trudnych, konkretność opisu rzeczywistości, rzetelne widzenie wielkich przemian dokonanych w naszej ojczyźnie w całym 35-leciu, a szczególnie w ostatniej dekadzie lat 70-tych i wyraziste, krytyczne poirzezenie na niełatwe zadania nadchodzącej dekady. Można powiedzieć, iż plon konkursu jest głębokim obywatelskim i partyjnym obrachunkiem osiągnięć i braków, sukcesów i zadań do realizacji, dokonanych na przełomie obecnej i nadchodzącej dekady.

Autorzy prac pochodzą z całego kraju, ze wszystkich regionów, a więc plon konkursu jest świadectwem opinii reprezentantów całego społeczeństwa. Piszący należą do wszystkich pokoleń, grup społecznych, wykształcenia i zawodów. Za piórno chwyciło bardzo wiele kobiet, nierzadko, nader przenikliwie i pouczająco odsłaniając oblicza współczesnego życia rodzinnego, swojego zaangażowania w wychowanie młodego pokolenia, w życie społeczne i polityczne, w zawód i zdobywanie kwalifikacji. Wiele przeto kobiet znalazło się wśród osób nagrodzonych i wyróżnionych, choć zasługiwało na wyróżnienia znacznie więcej autorek szczerych i cennych poznawczo prac. Ograniczona liczba nagród i wyróżnień zmuszała sąd konkursowy do

mórkę PPR w nim. A choć potem przeszedł w latach 50-tych ciężkie perypetie także w samej partii, nie zalał się, nie dał za wygraną, lecz przełamał trudności i pracował rzetelnie na żelaznych szlakach aż do emerytury.

Nie są to życiorysy — przykładem tutaj tylko omówione — proste ani bezkonfliktowe. Dziś ich autorzy też na wiele zjawisk patrzą krytycznie i samokrytycznie, dzieląc się z nami swym doświadczeniem życiowym i niepokojami. Ale jest to spojrzenie rzeczywistości współczesnej. To je wyróżnia i czyni szczególnie cennymi ideowo i wychowawczo. Mogą być one dobrym poirzezeniem dla młodych, zdobywających dopiero wiedzę w szkołach i na uczelniach, którzy

krzywdzi. Redakcja będzie te sprawy sprawdzać i ostro interweniować. Ale najgorsza jest — zdaniem pamiętnikarzy — demoralizacja z tego nieobalstwa i krzywdy wynikająca. Z tym trzeba się koniecznie uporać. Wydać zdecydowaną walkę nierobom, wandalom, pijakom, kumotom, łapówkarzom, tłumicielom krytyki społecznej, klikom itp. Takie jest zdecydowane zdanie zwycięzców.

Przykładem rzetelnej pracy, opisanego z dnia na dzień w szczegółach, prowadzonej w bardzo ciężkich warunkach, w dodatku utrudnianej przez nierobów i sobiepanków, jest pamiętnik-dziennik Janiny Łukasz, technika-rolnika po skończeniu telewizyjnego technikum rolniczego, pracującej jako oborowa (z bratem) w jednym z gospodarstw hodowlanych SKR pod Legioną. Po wielu debatach nagrodziliśmy ten pamiętnik i nagrodą, biorąc pod uwagę — obok jego wartości poznawczych i dokumentalnych — nieugiętą postawę i poczucie obowiązku autorki, która jako oborowa z bratem w najtrudniejszych warunkach ubiegłorocznej straszliwej zimy nie opuściła, stanowiąca pracy (kilka km dochodzi) z bratem, aby nakarmić i oparażyć krowy w oborze, choć nie dopisali z dozwolen paszy traktorysty, a niektórzy nieuczciwi pracownicy wręcz przeszkadzali w tej pracy.

Autorka chciałaby oczywiście po ukończeniu technikum pracować zgodnie z kwalifikacjami, ale nie otrzymała dotąd takiej pracy. Nie porzuca stanowiska oborowej. Szanuje bowiem każdą pracę, nie tylko

Z zagranicy

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z JAPONI)

Uliczka jest ponura i dość obskurna. Błotniste kałuże i czarne oczodoly okien nie zachęcają do zapuszczenia się w jej głąb. Tylko patrzeć, jak gdzieś zza węgła wychynie parę zamaskowanych postaci. O, właśnie! Jak na zawołanie pojawia się trzecz mężczyzna. Zupenie jednak odwrotnie niż na filmie: jescze nie było czarnych typów, a już jest szeryf i company. A ponieważ rzecz dzieje się nie w amerykańskim, tylko w japońskim westernie, na plan wkroczyli trzecz wspaniałych samurajów. Ich dziełne czyny oglądają codziennie na małym ekranie, oczywiście w kolorze, miliony telewizorów. Ich podobizny wysokości kilku piętér, rzucają się w oczy w najbardziej ruchliwych dzielnicach miasta.

Cóż to są za bohaterowie! Znajdują się zawsze tam, gdzie kogoś trzeba ratować. A jak walczą! Na efektownych ciosach, w stylu japońskim zresztą upływa połowa każdego odcinka serialu. Są i inne sceny. Jeden z samurajów, ten najwspanialszy, a poznaje się go po tym, że chociaż przystojny, jak pozostali, jest ciut łysawy, ma cudowną siłę woli. W najbardziej dramatycznych momentach potrafi na głowy dziesięciokrotnie liczniejszych napastników zwałić z hukiem cały gaj bambusowy. Przy czym każda co grubszą pałką szczęśliwie ładuje zawsze najpierw na którejś politycy, a potem ukiada się w zgrabną barykadę, oddzielającą obie walczące strony. W takim miejscu obraz w telewizorze — przy charakterystycznym dźwięku urywa się, a ekran na kilka minut opanowuje reklama. Dżemu mandarynkowego i lakieru do paznokci, zegarków elektronicznych i domków letniskowych... Zresztą chyba wszystkiego, co się produkuje i sprzedaje.

Ale, ale! Wspaniale trójce samurajów towarzyszy piękna gejsza. Mało, piękna! Kiedy znajduje się

Dwie godziny w Toho

w opalach, nie wzywa na pomoc swych męnych druhów, ale zerkasz wzdłużnym ruchem krępującego dół bajeżnego kimono, w czarnych szortach zabiera się do rozgromienia nainwiazków żądnych łatwych zdobyczy. Czegoż to ona nie potrafi! Judo, sumo, karate — i co tam jeszcze istnieje. W parę chwil jest wolna, albo obroniła jakąś prawdziwie słabą pleć, nie naruszysz przy tym nawet jednego swojego włosa z misternie ułożonej fryzury.

Chociaż gejsza? Proszę bardzo. Właśnie w jednym z domków ponurej uliczki nakręca scenę do kolejnego odcinka serialu. Jak zawsze urocza, na pozór krucha i bezbronna. Ale nie wierzcie pozorom, bo zaraz się zacznie... Półki jednak co, można sfotografować się z aktorką, byle prędko, bo w studiu filmowym czas to pieniądź.

Jeszcze dwadzieścia lat temu w wytwórni Toho na-

grywano pięćdziesiąt filmów rocznie, a teraz bywa że tylko pięć. Cóż, kryzys kinematografii ogarnął i Japonię. Dyrektor, pan Takizawa informuje, że Akira Kurosawa kręcił w Toho swój nowy film „Kage muska” — „Cień samuraja”. Wydano już plakat z tej okazji, który oblepiono biuro wytwórni w Tokio: bardzo sugestywny, na stalowym tle zarys czarnej sylwetki ryccera w zbroi, rozjaśnionej białym słupek napisu.

Zmniejszenie filmowej produkcji spowodowało, oczywiście, redukcję personelu. Jeden z byłych operatorów, gdy dowiedział się o gościach z Polski, przyszedł z nami porozmawiać. Co robi w wytwórni po redukcji? Otóż, aby dać ludziom za-

Zobaczmy, jak kręcą tam filmy.

Do tego baraku — niebawem trzeba wejść schylając głowę prawie tak nisko, jak przy japońskim ukłonie. Wnętrze zamieniono na bar. Współczesny kopciuszek z filmu dla dzieci zmywa talerze. Jest i królewicz, wyścierający szklanki. Uwaga! — klaps! — królewicz coś mówi, ale się „spyle”, kamera przestaje terkotać, kopciuszek się śmieje, zasłaniając dłoń ustami. Ten gest skromności został do dziś japońskim dziewczętom, nawet gdy są aktorami. Kiedyś za wielkie uchybienie uważano pokazywanie zębów, czerniono je nawet, a modę tę nazywano o-haguro. Śmiech wnet milknął, ujęcie powtarza się drugi raz, trzeci...

Wejście do następnego pomieszczenia, z wyglądu długiego hangaru, jest tak niskie, że wymaga niemal kleknięcia, takiego jak przy ceremonii picia herbaty. W środku jakieś deski, gruz, łopaty, a na tym wszystkim rzucano niedbale błękitny welon. Na taki sam kolor pomalowano przeciwległą ścianę, to dla wznieśsionego na środku hali słożka wulkanu. Właśnie krater „ożył”, podświetlony od wewnątrz, z butli wydobywa się para, słychać syk i huk. Wtem, nad zielejnym ogniem i dymem otworem, pojawiają się nogi, zakryte powyżej kostek kimonem. Operator zaciekle filmuje przepuszczając w przerażeniu kończyny, dwóch aktorów trzyma lalkę, a właściwie jej dolną połowę i gorączkowo wykonuje ruchy, które by jak najlepiej to przerażenie oddawały. Wszyscy bardzo są zajęci, nie zwracają uwagi na intruzów, podpatrujących ich pracę. Można więc tylko snuć domysły, o co chodzi w nakręcaniu scenie.

Róg kolejnej szopy zamieniono w szpitalną salę. Tu rozgrywa się scena kryminalna. Czarny charakter, z fryzurą i do widzenia się, co z jego dziewczyną ranioną podczas napadu. Aktor, grający lekarza, ma stetoskop z obłamaną jedną słuchawką, więc rekwizytor wkłada mu go do kieszeni fartucha tak, aby było widać tylko drugą. Pielegniarka, stojąca obok, trzęsie się z zimna. Nie może się doczekać, kiedy zjeździe z planu i będzie mogła ograć ręce nad żelaznym koszem z rozżarzonym węglem drzewnym. Zgromadziło się przy nim już kilka osób, bo w szpitalu jest zimno nieczym w piarni. Taki kosz — piecyk od wieków służy w Japonii do ogrzewania, znany był na długo przed odkryciem par, gazu i elektryczności, a dziś w dobie kryzysu energetycznego, przydatność jego tym bardziej nie zmalała.

A że warunki pracy nie są najlepsze? Chodzi przecież o to, aby jak najszybciej i jak najtańszym kosztem wyprodukować jak najwięcej filmów.

Program wizyty w wytwórni Toho obejmuje jeszcze zwiedzanie basenu, który w filmach spełnia rolę morza, oceanów i wszelkich innych akwenów. Tu rozgrywały się sceny z morskimi potworami, a glądka jak lustro powierzchnię wody nierzaz wzburyły tajfuny. Specjalny film, wyświetlany w salce projekcyjnej, daie przegląd wszelkich katastrof, które w filmach typu „Godzilla” nawiedziły nasz glob, jak się dobrze przypatrzyć, skromny basenik rozpoznaje się w licznych sytuacjach.

ANIELA ŁABANOW

OBLICZA WSPÓŁCZESNOŚCI

niełatwych decyzji, — mamy przekonanie — trafnych. Tak było również jeśli chodzi o pamiętniki i wypowiedzi osobiste przedstawicieli starszej generacji, będących na zastępstwie emeryturze, w tym po raz pierwszy emerytów na rencie. Reprezentanci starszego pokolenia nader licznie odpowiedzieli na apel redakcji, dzieląc się swym bogatym doświadczeniem życiowym, kreśląc szczególnie szeroko i niekiedy wzruszające obrazy przemian naszej rzeczywistości narodowej od początku naszego wieku. Od odzyskania przez Polskę niepodległości 60 lat temu, poprzez międzywojenne 20-lecie, straszliwą II wojnę i okupację, powstanie i rozwój Polski Ludowej, w które to dzieło włożyli maksimum wysiłku, do naszych dni. Ich świadectwo, pisane własnym życiem i pracą, jest tu jednocześnie: ogromne historyczne dokonanie, wielka przemiana życia i doli ludzi pracy, osiągnięta dzięki wysiłkowi całego narodu, mogącemu tak owocować tylko w warunkach socjalizmu.

To świadectwo własnego życia chcą oni zostawić młodym, aby pamiętając o skali przemian i trudności, ich dokonania przez pokolenia dziadków i rodziców, nie wahali się przed podjęciem zadań równie ambitnych i trudnych na szlaku współczesnego trudnego wysiłku narodów i krajów świata do dobrobytu i nowoczesności. Taki jest generalnie ton i postać pamiętnika działacza społecznego petersburskiego i zbawidowca, Tadeusza Cwikla z Kiele (II nagroda), który z zapadłej w osi przeszedł do wiodzącej ludowej drogi awansu i od 35 lat jest gorącym patriotą miasta Zeromskiego. Taką wymowę odczytuje w pamiętniku Marianna Dziubka, rolnika rencyisty od 1974 r. z Zielonogórskiego, który w wczesnej młodości nie mając pracy na wsi podzieszkowskiej, szukał zarobku na emigracji we Francji, skąd jednak jeszcze przed wojną wygnął go kryzys bezrobocia, a dopiero odzyskanie ziem zachodnich przez Polskę Ludową zacięło jego marzenia o gospodarstwie w Zielonogórskim, na której pracował rzetelnie prawie 30 lat, działając w partii i jako radny (III nagroda), takie refleksje nasuwa pamiętnik maszynisty PKP z Elku Henryka Smolskiego (nagrada Wojewody Suwalskiego), obecnie na emeryturze, który odbudowywał węzeł elektryczny zaraz po wojnie i zakładał ko-

niełatwych decyzji, — mamy przekonanie — trafnych. Tak było również jeśli chodzi o pamiętniki i wypowiedzi osobiste przedstawicieli starszej generacji, będących na zastępstwie emeryturze, w tym po raz pierwszy emerytów na rencie. Reprezentanci starszego pokolenia nader licznie odpowiedzieli na apel redakcji, dzieląc się swym bogatym doświadczeniem życiowym, kreśląc szczególnie szeroko i niekiedy wzruszające obrazy przemian naszej rzeczywistości narodowej od początku naszego wieku. Od odzyskania przez Polskę niepodległości 60 lat temu, poprzez międzywojenne 20-lecie, straszliwą II wojnę i okupację, powstanie i rozwój Polski Ludowej, w które to dzieło włożyli maksimum wysiłku, do naszych dni. Ich świadectwo, pisane własnym życiem i pracą, jest tu jednocześnie: ogromne historyczne dokonanie, wielka przemiana życia i doli ludzi pracy, osiągnięta dzięki wysiłkowi całego narodu, mogącemu tak owocować tylko w warunkach socjalizmu.

Z wszystkich nadesłanych zapisów wyłania się jedna prawda: praca stanowi podstawowe oblicze naszej polskiej współczesności. Podstawowa idea i wskazanie partii, podkreślone w Wytęchnych na VIII Zjazd i wielokrotnie akcentowane przez I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, że tylko rzetelna, efektywna praca całego narodu zrealizujemy nasze ambitne plany i pokonamy trudności przełomu lat 70-tych i 80-tych, znajduje gorące poparcie i niekiedy godną najwyższego szacunku egzemplifikację w tych pamiętnikach. W tym sensie jest to ważki głos przedstawicieli całego społeczeństwa z całego kraju w dyskusji przed VIII Zjazdem PZPR.

W świetle tych prac nie wszyscy niestety w naszym kraju pracują rzetelnie i nie zawsze dobrze, ofiarna praca jest dostrzegana i właściwie nagradzana. W wielu jeszcze miejscach pracy marnotrawi się czas i środki, surowce i narzędzia. Wiele jest jeszcze przejawów biurokracji, pracy na pokaz, lipnych sprawozdań i planów, pozornych osiągnięć, pokrywających zwykłą niegospodarność. Martwi to i niepokoi większość uczestników tego konkursu-dyskusji. Nawet jeśli ich to bezpośrednio nie krzywdzi, a często niestety —

ze względu na korzyści materialne, ale dlatego, że kraj potrzebuje mleka, mięsa, że społeczna własność nie może się zmarnować. Wyraża to w pamiętniku bez wielkich słów, wynika to po prostu z opisanych przez nią faktów. Jednocześnie stara się demaskować pijaństwo, nadużycia, co sprzeczne z nią i brata odwet tych, którym taka postawa przeszkadza, którzy czują się zagrożeni. Gorszy, konfliktowy to pamiętnik, ale jednocześnie jakże optymistyczny jeśli się zważy na postawę autorki i jej brata.

Podobną postawę, może w mniej dramatycznych warunkach, wykazuje bardzo wielu pamiętnikarzy w pracach tego nadzwyczaj cennego konkursu. Jest to wielki kapitał społeczny rzetelności i obowiązku, połączony z coraz wyraźniej narastającym buntem przeciwko nierobom, nieodpowiedzialności, marnotrawstwu, niesprawiedliwej ocenie pracy ludzkiej, pijaństwu, biurokracji i sobiepanstwu. Trzeba ten kapitał chronić przed jego likwidatorami, nadawać mu rangę społecznej kontroli i społecznej opinii, z którymi każdy — niezależnie od stanowiska i zasług — musi się liczyć. Taka nasuwa się refleksja — wniosek z lektury tych tysięcy stron maszynopisów, które w większości są godne powielenia dla dokumentacji współczesności i nauki dla kadr kierowniczych, jakie problemy rzeczywistości przeżywa ludźle pracy, co ich nurtuje, co cieszy a co boli...

Z materiałów poprzedniego konkursu „Konflikt współczesny” powstał zbiór fragmentów prac, który wkrótce ukaże się nakładem „Iskier”. Powstaje też opracowanie popularnonaukowe. Materiał z tego konkursu, „Oblicza współczesności”, jeszcze bardziej zasługuje na takie opracowanie i naukowe wykorzystanie. Sąd konkursowy i redakcja dziennika PZPR „Gazeta Współczesna” wspólnie podejmą starania, aby jak najlepiej wykorzystać cały nadesłany materiał. Jest to naszym obowiązkiem wobec wszystkich pamiętnikarzy, spośród których bardzo wielu zasługiwało na wyróżnienia. Znacznie więcej, niż sąd konkursowy mógł ich przyznać.

Laureatom serdecznie gratulujemy, a wszystkim uczestnikom konkursu z szacunkiem i wdzięcznością klaniamy się, dziękując za cenne prace.

BRONISŁAW GOŁĘBOWSKI



Już od dwudziestu lat Godzilla — bohater japońskich filmów fantastycznych — odnosi sukcesy na ekranach kin całego świata. W okresie tym powstało 13 filmów z Godzillą w roli głównej, kilka z nich jest znanych także i u nas.

NA ZDJĘCIU: dramatyczne spotkanie potworów na ulicach miasta.

CAF — AP

Michał Bołtryk

Exodus

Ciąg dalszy ze str. 1

— Ale umierać tam gorzej, bo jak człowiek umrze, to nie będzie komu pośpiewać.

— Jest chór w cerkwi w Białymstoku — próbuję pocieszyć.

— Ale w domu nikt nie pośpiewa na wieczery, a jeżeli, to za pieniądze. W cerkwi też za pieniądze śpiewają. Będziemy umierać bez śpiewania.

— Najgorzej wynosić tam trumnę. Widziałem — dodaje Kardasz. Jak w windzie, to wiozą na stojąco. A jak po schodach z wysokiego piętra — to ciężko. Muszą mi dać mieszkanie nisko. Inaczej nie wezmę.

— Na parterze, znówu, mogą okraść — ostrzegam.

Woda wszystkich zrówna. A ja i tak po polsku już nie będę gadał w Białymstoku. Wszędzie po naszymu gadam to i tam też — kończy Kardasz.

Sąsied Kardasz, Konstanty Kazberuk ma w ostatnich latach gospodarstwo jak nigdy przedtem. Nie nie obudowywał, a ma dwa razy więcej budynków gospodarskich i dwa domy, i wszystko na jednym podwórku. Brat jego — Michał — nie doczekał się wywłaszczenia, jeszcze przed komasacją uciekł z żoną od hektarów, krów i świń do Białegostoku. Powodziło mu się różnie: strażnikiem w banku był, zamiatał ulice, a to stróżował gdzieś, albo nigdzie nie pracował. Żona sprząta. Ale wszyscy na wsi twierdzą, że dobrze im się wiedzie, bo już dostali jakiś kąt z kwatunku. Teraz, jeżeli przyjeżdżają do Bołtryka, to tylko na grzyby, albo nad rzekę. Inaczej nie.

Wszystko zostało dla Konstantego, który też niedługo to zostawi. Nikomu tak sobie. Gdzie wyjedzie? „Sam chciałbym wiedzieć” — odpowiada. Ja, jeśli kupuję prosiętą, to już mam na nie kłaskę; chlewi mam dla nich gotowy. Inaczej nie kupowałbym. A oni robią tak, jak szepczą, zamawiają zby szepczą, żeby nie boliły — może tu, może tam pan sobie coś kupi; może na innej wsi pan się ułokuje. Oni nie pytali czy ja chcę, czy nie chcę — wycenili i przywożą pieniądze. A ja co, pytam się, z tych pieniędzy mam zrobić. Oni mnie wykwaterowują, a mieszkam w bloku nie chcę da. A jak dadzą, to nawet najpotrzebniejszych rzeczy tam nie zabiorę, bo gdzie to ułożę. Część wezmę, a resztę spalę. A co. Tak samo meble: stoły, szafy,

łóżka, ławy. Wszystko dąb, jesion. Toż to wszystko kosztowało. Też pójdzie w ogień. Łóżko jedno już spaliłem. W Białymstoku będę chodził po restauracjach, bo jeszcze wszystkich nie znam. Wezmę ze sobą milicjanta i będzie z nim chodził po gospodach. Jak upije się, niech mnie odprowadza do domu”.

Matka Konstantego, która ma 86 lat i jest prawie całkowicie głucha a podpiśać się umie tylko krzyżkami, też już wie, że trzeba będzie stać wyjechać. Dotychczas tylko raz jechała zmotoryzowanym środkiem lokomocji, kiedy to wnuczek, Złutek, podwoził ją do sąsiedniej wsi. Babcia Stepania Koncawaja — tak ją we wsi nazywają po mężu i od tego, że tu był kiedyś koniec wsi — zdaje sobie sprawę, że przed ostatnią podróżą czeka ją jeszcze podróz do nowego świata. Babcia już od dziecka spełnia wszystkie postępy, jakie tylko są zaznaczone w modlitewniku. Przed wielkimi świętami nie je po kilka dni, spowiada się. Ostatnio jakby nasiliła te czynności. Modli się, by Bóg pozwolił jej umrzeć tu. To jedyna jej prośba w modlitwach porannych, popołudniowych i wieczornych.

Babcia nie może uwierzyć i nie daje się przekonać wnuczek Ali, że w jednym bloku może mieszkać tyle ludzi, ile w całych Bołtrykach. „Przeć — dziwi się — nie ma takiego pieca, który by ogrzał tak duży dom”.

Słuszka, Olga Bołtryk, mówi: „nigdy, nigdy w to nie wierzyłam. Przed laty, jak jeszcze żył mój Aleksander i pracował z ulicy takie pogłoski, że może będzie trzeba

wyjechać stąd, myślałam: to wszystko bujda. Kiedy plotki zaczęły się sprawdzać, myślałam, że może jeszcze tu umrzemy. W końcu wyszło na to, że tylko mój Aleksander umarł tu. A jeszcze, pamiętam, przed śmiercią ciągle powtarzał: ja to już nie doczekam, ale ciekawe na czym to stanie, jak to będzie tu. Odszedł z niewyjaśnionymi pytaniami. A ja boję się sama iść wśród obcych. Zapisalam się do Bondar. Tam mają budować. Będę w bloku. Ale staremu wszędzie źle: i tu, i tam”.

— Nie trzeba.

— Już rozmawiamy bez pisania.

— Przeżył człowiek tyle biedy, jakos się wygrzebał z tego i trzeba rzucić to wszystko. A już można byłoby i tu żyć. Rzeczywiście.

Patrz na nowe, kaflowe piece zrobione przed paru laty. W piecu buzuje ogień. Suche drewno dobrze się pali. I przypominam sobie obraz sprzed lat piętnastu: piec z cegły, obłożone gliną, stara podłoga, z dziurami. Jedwo się tłące w piecu drewno, a raczej gałęzie zawsze mokre, pszące w ogniu.

W tym domu za czasów, kiedy żył jeszcze Tolik, mąż Antoli, od rana do późnego wieczora przesiadywała wsiowa młodzieżowa elita, czyli chłopcy ze starszych klas szkoły podstawowej, wagarowicze i ci po szkole. Towarzystwo wyłącznie męskie tu się gromadziło. Tolik prowadził dla nas

dom otwarty i ani w głowie mi było tak przyziemne sprawy jak brak suchego drewna na opał. Zapalić, pograć w karty, wypić — to były wspólne cele: nasze i Tolika. Śmierć Tolika, oprócz rodziny, najbardziej przeżyłymi my — młodzi chłopcy. W parę lat po śmierci Tolika rolę takiego domu przejął Klub Rolnika, a w nim telewizor. Ale to już nie było to.

— Na miejscu to można byłoby już do śmierci pracować na ziemi — wyrywa mnie z rozmyślań głos Antoli — ale nowego gospodarstwa ja już nie jestem w stanie założyć. Wyjeżdżamy do Michałowa i na pewno tak, jak tu już nie będziemy żyć. Nie wiem jak, ale na pewno inaczej. Do parku zajdę i będę siedzieć. No, może jeszcze kółkolek wezmę. Chciałabym za kawalek chleba coś się sprządzić komus jak zajdzie potrzeba. A tego — wskazuje palcem na dużego, tłustego kota, siedzącego na piecu — to nie wezmę. Ja wiem, może sama nie będę miała co jeść, a jeszcze jego karmić.

Kot mruczy jak gdyby nigdy nic. Wygrzewa się szczęśliwy.

Jan Bołtryk, zięć Antoli, już nie, tylko czeka na wyjazd. Nawet — mówi — nie ma czego tu żałować. Dzieci będą miały lepiej, bo bliżej do szkoły. Ja do pracy. W mieście weselej. „Gospoda bliżej” — podpowiada żona, znając ulubione zajęcie męża. Lepiej niech kończą swoją robotę. Broń Boże, żeby nie przerwali jej, żeby już można było wyjechać. My do Michałowa.

Jan Bołtryk nie nie remontuje. Drzwi w domu nie domykają się, kłamka

Ciąg dalszy na str. 4

Panie dyrektorze, czy w sześćdziestolecie teatr jest potrzebny?

— To dzisiaj Birlad liczy aż tyłu mieszkańców. Nasz teatr powstał w 1955 roku, kiedy miasto było bez porównania mniejsze — wielki przemysł, w którym obecnie znajdujemy oparcie, dopiero się wówczas rodził. O utworzeniu teatru zdecydowały, jak mi się zdaje, perspektywiczne plany podwignięcia ekonomicznego tej części Mołdawii, jak też wielowiekowe tradycje miasta, które w 1974 roku obchodziło 800-lecie istnienia. Trzeba wiedzieć, że w Birlad przed 120 laty powstało trzecie z kolei liceum w Rumunii, które promieniowało na całą Mołdawię. Wyszło z niego wielu znakomych ludzi — pisarzy, artystów, generałów. Między innymi — patron naszego teatru Victor Ion Popa, pisarz i reżyser, który pierwszy organizował przed wojną spektakle dla robotników w ośrodkach przemysłowych, a jako profesor Instytutu Teatralnego w Bukareszcie przygotował wielu znakomych kontynuatorów swoich idei. W tym teatrze również czujemy się spadkobiercami tego wytrwałego dramaturga i wielkiego humanisty: przygotowując spektakle dla robotników — bo dzisiejsze Birlad to dynamicznie rozwijający się ośrodek przemysłu maszynowego i tekstylnego — znajdujemy szczególny rodzaj satysfakcji. Czujemy się niezastąpieni, mieszkańcy miasta naprawdę nas potrzebują, o czym świadczą chociażby fakt, że dziesięć tysięcy widzów wykupuje abonamenty na nasze przedstawienia. A przecież prócz Birlad obsługujemy całe województwo i jego stolicę — Vasiu, w którym raz na tydzień damy spektakl.

— Czy każde spośród 39 województw, utworzonych w 1968 roku, ma własny teatr?

— Większość województw. W Rumunii istnieją obecnie 42 teatry dramatyczne, ale są ośrodki, które mają ich kilka, na przykład Bukareszt osiem, Jassy dwa, nie licząc teatru lalek i opery.

— Czy ludzie pracujący w Waszym teatrze mają kompleks prowincji, przeświadczenia o swoich mniejszych szansach w porównaniu z artystami stołecznymi?

— Raczej nie, ponieważ staramy się tworzyć dobre przedstawienia i zaznaczać swoją obecność w kraju. W Birlad co roku odbywa się ogólnokrajowy festiwal, połączony z sympozjum reżyserów, na który przyjeżdżają najlepsze zespoły z innych miast, my zaś uczestniczymy w podobnych imprezach, organizowanych przez inne teatry.

W ubiegłym roku na festiwalu krótkich form w Oradea, w którym uczestniczyło 12 teatrów, m.in. z Bukaresztu, myśmy zdobyli główną nagrodę. Wcześniej otrzymaliśmy laury na festiwalach w Botosani i w Bacau. Przynajmniej raz w miesiącu występujemy gościnnie przez kilka dni w sąsiednich województwach lub w Bukareszcie, spotykając się wszędzie z życzliwym przyjęciem i zainteresowaniem.

— Czy to wystarcza, by absolwenci wyższych szkół teatralnych chcieli podjąć pracę w Birlad?

— Świeżo upieczeni aktorzy, reżyserzy, scenografowie i kierownicy literacy, bo w takich specjalnościach przygotowują szkoły teatralne w Bukareszcie i Tyrgumures, otrzymują nakazy pracy tam, gdzie są naprawdę potrzebni.

(Korespondencja własna)

Bez kompleksu prowincji

Rozmowa z CONSTANTINEM PETRICANEM, dyrektorem teatru dramatycznego w Birlad.

takie dla robotników — bo dzisiejsze Birlad to dynamicznie rozwijający się ośrodek przemysłu maszynowego i tekstylnego — znajdujemy szczególny rodzaj satysfakcji. Czujemy się niezastąpieni, mieszkańcy miasta naprawdę nas potrzebują, o czym świadczą chociażby fakt, że dziesięć tysięcy widzów wykupuje abonamenty na nasze przedstawienia. A przecież prócz Birlad obsługujemy całe województwo i jego stolicę — Vasiu, w którym raz na tydzień damy spektakl.

— Czy każde spośród 39 województw, utworzonych w 1968 roku, ma własny teatr?

— Większość województw. W Rumunii istnieją obecnie 42 teatry dramatyczne, ale są ośrodki, które mają ich kilka, na przykład Bukareszt osiem, Jassy dwa, nie licząc teatru lalek i opery.

— Czy ludzie pracujący w Waszym teatrze mają kompleks prowincji, przeświadczenia o swoich mniejszych szansach w porównaniu z artystami stołecznymi?

— Raczej nie, ponieważ staramy się tworzyć dobre przedstawienia i zaznaczać swoją obecność w kraju. W Birlad co roku odbywa się ogólnokrajowy festiwal, połączony z sympozjum reżyserów, na który przyjeżdżają najlepsze zespoły z innych miast, my zaś uczestniczymy w podobnych imprezach, organizowanych przez inne teatry.

W ubiegłym roku na festiwalu krótkich form w Oradea, w którym uczestniczyło 12 teatrów, m.in. z Bukaresztu, myśmy zdobyli główną nagrodę. Wcześniej otrzymaliśmy laury na festiwalach w Botosani i w Bacau. Przynajmniej raz w miesiącu występujemy gościnnie przez kilka dni w sąsiednich województwach lub w Bukareszcie, spotykając się wszędzie z życzliwym przyjęciem i zainteresowaniem.

— Czy to wystarcza, by absolwenci wyższych szkół teatralnych chcieli podjąć pracę w Birlad?

— Świeżo upieczeni aktorzy, reżyserzy, scenografowie i kierownicy literacy, bo w takich specjalnościach przygotowują szkoły teatralne w Bukareszcie i Tyrgumures, otrzymują nakazy pracy tam, gdzie są naprawdę potrzebni.

6—7 premier o najroźnorodniejszej problematyce i przynależności gatunkowej, bo musimy — jako na co dzień jedyny teatr — zaspokajać zróżnicowane potrzeby odbiorców.

Z tego przynajmniej połowa to współczesne i klasyczne sztuki rumuńskie; w ciągu dwu ostatnich lat prócz utworów Gorkiego, Lwa Tołstoja, O'Neilla i Strindberga wystawiliśmy m.in. takich dramaturgów, jak Dumitru Solomoni, Mihail Jolder, Ion Luca Caragiale. Dobierając repertuar mamy na względzie wartości poznawcze, sztukę, musi podniecać problemy, obchodzące żywo współczesnego widza, przewodzić odpowiedzi na pytania, które stawia każdy z nas.

— Jaka sztuka cieszyła się w ciągu 24 lat największym powodzeniem?

— Od założenia teatru wystawiliśmy 200 premier, które obejrzało ponad 2,5 miliona widzów. Najlepiej przyjmowana przez publiczność jest jedna z komedii patrona naszego teatru, której akcja rozgrywa się właśnie w Birlad, a bohaterami są przedstawiciele narodowości zamieszkujących ongiś nasze miasto: Rumun, Żyd i Turek, z których każdy mówi własnym żargonem, w przesłaniu sztuki zawiera się jednak podkreślenie przyjaźni między nimi i godności ludzkiej. Sztuka ta była już trzykrotnie wystawiana w naszym teatrze, ostatnio przed czterema laty, a gdybyśmy dzisiaj zapytali widzów, co chcieliby zobaczyć w najbliższych miesiącach, jestem pewien, że co drugi zaproponowałby jej inscenizację.

— Zauważyłem, że teatr jest w remoncie...

— Budynek bardzo uciążliwy podczas trziesięciu zimnych miesięcy 1977 roku. Nie przetrzymaliśmy jednak pracy, a i teraz, choć trwa kapitalny remont, wszystko idzie normalnym trybem. Chcemy zakończyć odnawianie gmachu kilka miesięcy przed jubileuszem 25-lecia, które wypadnie w grudniu br.

— Dziękuję za rozmowę, życząc Panu i zespołowi wielu sukcesów artystycznych.

Rozmowę przeprowadził:

JAN KWASOWSKI

Wdzięk patyny

Nazwisko: Murawski.
Imię: Roman.
Wiek: 35 lat.
Zawód wyuczony: technik mechanik ze specjalnością obróbki skrawaniem.
Zawód wykonywany: odlewnik, brzoźnik.

Cel: uzyskanie tytułu mistrza rzemiosł artystycznych.

Tajemnicza odlewnictwa tkwi podobno w doborze piasku, który, zmieszany z różnymi materiałami wiążącymi, daje odpowiednią masę formerską. Od tego zależy bowiem gładkość powierzchni odlewu, a więc i subtelność, po której poznaje się umiejętności odlewnika. Zanim Romanowi Murawskiemu udało się uzyskać odpowiednią masę z ciecianowickiego piasku, musiał długo eksperymentować. Traktował to z początku jako hobby, zajmując się na co dzień ślusarstwem i kowalstwem. Wiele bram, balustrad i krat w całej okolicy pochodzi właśnie z jego warsztatu.

gorczuk, Sielski, Lutostański. On natomiast nie. Ciągłe chce ulepszać, doskonalić. „Z mojej pracowni — twierdzi — muszą wychodzić rzeczy pierwszorzędnej jakości”.

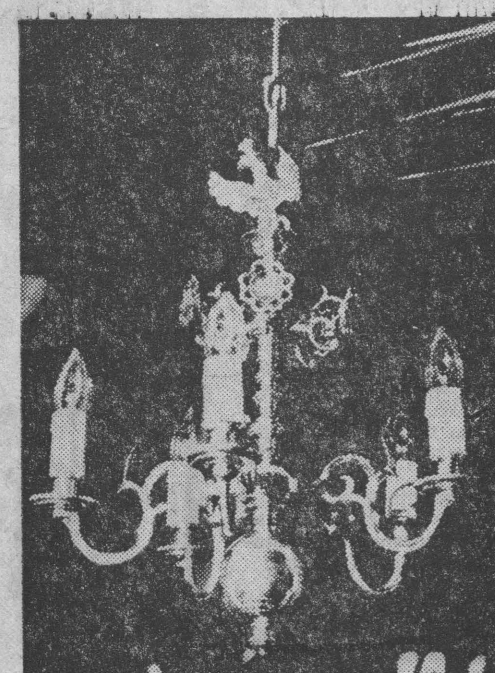
Murawski wykonuje najroźniejsze przedmioty. Jego warsztat posiada wszystkie niezbędne urządzenia służące do wykonywania odlewów, a więc: formy odlewnicze, specjalny piec wytopowy i sprężarownia przez siebie mieszankę materiałów formierskich do wykonywania form. Odełwa rzeźby i medale wykonywane przez plastyków, ale także kopiuje stare wzory.

Odelewnictwo jest zajęciem szalenie skomplikowanym, wymagającym wiele cierpliwości, precyzji i talentu. Ostatnio na przykład Roman Murawski otrzymał piękny, stary kinokiet. Żeby sporządzić jego kopię należało poszczególnym elementom starego modelu dostosować do wymiarów z masy formierskiej. Później przystąpił do zalewania form metalem. Po odlaniu wszystkich detali zaczął się obróbką skrawaniem. Gdy wykonał ostatni szlif dostosował części do wprowadzenia instalacji elektrycznej, a następnie skrocił je i otrzymał kinokiet jak z dawnych wzorów.

Murawski używa brązu jako niezawodnego materiału dającego się wspaniale formować i odlewać, a także kolorować i patynować (za pomocą różnych czynników chemicznych). Ta sztucznie wytworzona śnieżka ma nowo odlanej rzeźbie ma wiele uroku, ale także jest symbolem trwałości tego co piękne. Murawski kopiuje dawne kandelabry, lichtarze, kinokiety z całym poczuciem przynależności do klanu dawnych mistrzów artystycznego rzemiosła. Czyny to na fali retro, ale przecież, bez względu na modę, rzecz piękna pozostanie piękna na zawsze.

Wystawę rzemiosła artystycznego Romana Murawskiego można aktualnie oglądać w Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu. Wśród jego prac są wzory artystów plastyków, medale oraz kopie starych mistrzów.

LUDELA CHALECKA-POŁOCKA



Fragment wystawy.
Fot. Wojciech Bogucki

Nagciarsstwo ma szansę stanąć się sportem masowym. Potwierdził to organizowany w ubr. „Bieg Jacyngów”, w którym uczestniczyło blisko 600 osób.



Goldap

Przyjechać by tu zimą, taką jak teraz — nie za mroźną i nie za śnieżną. Na tydzień, ewentualnie dwa. Do hoteliku ciepłego z restauracją na dole i kawiarnią na wieczorne ploty. Dzień cały — deski do nóg i z góry na dół; z dołu już chodzi wyciąg. Albo inne góry, gdzieś w tańcach Szeskim, w guszy bez techniki i wyjeżdżonych tras, albo łazęga po oszronionych lasach nad brzegiem jezior w poszukiwaniu tropów. Przyjemny może być taki urlop, prawdziwie

Zgadza się ze mną Zdobych Borawski, naczelnik miasta i gminy w Goldapi. Dodaje jednak: — Unikamy propagowania miasta w sezonie zimowym.

piętrze z parkietowym kręgiem i świetelną dekoracją jeszcze nie funkcjonuje. — Mało gości mamy — tłumaczy recepcjonistka — więc nie ma sensu zatrudniać dodatkowego personelu.

Właśnie z gośćmi kłopot jest największy. W zajeździe i w Goldapi. W ciągu 5 miesięcy działalności ośrodka, kelnerki tylko dwa razy miały ręce pełne roboty. Wydarzenia te wiązały się z otwarciem placówki i pierwszym w niej Sylwestrem. Hotelowa statystyka także nie napawa optymizmem. Dotychczas ujęto w niej 532 turystów indywidualnych plus wycieczkę 40-osobową, Maio.

O wiele przyspieszało jak na miasto, które miało to nieścisłość, iż znalazło się w dziesiątce miejscowości w kraju o przyspieszonym rozwoju turystycznym. Program tego rozwoju (miejscowości resortowej, ustalony w 1977 r.) okazał się jednym z tych programów, wokół których panuje atmosfera euforii i entuzjazmu, ale tylko w chwili podpisywania. O tym jednak, że do programu, przynajmniej goldapskiego, nie wróci pies z kulawą nogą, nikt jeszcze nie wiedział.

Bo cóż to jest program? Efemeryczny konkretny, o realizację którego trzeba

się dobijać, choćby przy nim, dogłębnie uporządkować gospodarkę komunalną, co było w ustawie. Ponadto: kompleksowe zagospodarowanie Pienińskiego Parku Narodowego, w tym: wycieczek, orczykowymi i krzesłowymi, kilkoma skoczniami, trasami saneczkowymi, narciarstowymi, strzelnicą biathlonową. Nie pominięto także prace na brzegach jeziora, budowy dzielnicy rekreacyjnej, zaplecza obiektów sportowych i sieci placówek usługowych, handlowych i gastronomicznych.

Wierzę, że w pierwszej kolejności zamierzano uporządkować gospodarkę komunalną, co było w ustawie. Ponadto: kompleksowe zagospodarowanie Pienińskiego Parku Narodowego, w tym: wycieczek, orczykowymi i krzesłowymi, kilkoma skoczniami, trasami saneczkowymi, narciarstowymi, strzelnicą biathlonową. Nie pominięto także prace na brzegach jeziora, budowy dzielnicy rekreacyjnej, zaplecza obiektów sportowych i sieci placówek usługowych, handlowych i gastronomicznych.

Czy warto zresztą kochać tę wylęczankę, skoro nie został nawet podjęty

zepsuta. „O — mówi — w bloku będzie tańce, jak się zepsuje — to mi nareperują”.

— Zawsze z Jaskiem, moim bratem, baliśmy się tylko wyjazdu na Sybir” — zwierza się Maria Kretowska, lat 83, i zaczyna od początku, czyli od cara, Pamieta, a jakże, wojnę cara z Wilhelmem. Z rozmarzeniem w oczach przypomina jak to w 915 chorąży węg. z innymi pannami za wieś, na gościniec, żeby popatrzyć na nasze rzeźby (tędy, wojska carskie).

Widziała tu wtedy pierwszy samochód.

— Patrzyliśmy jak na jakieś widziadło: bez konia, a jedzie. No i całe wojsko na koniach. A żołnierze — mundury, lampasy, sznury, szable, konie.

Kretowska przez chwilę wraca do swoich osiemnastu lat. Do dziś jest panną.

— A jak żyli kiedyś wojskowi naczelnicy carscy. Co za szyk. U nas przez parę dni stawali się, bo mieliśmy najlepszy dom na wsi. Oni to nam poradzili, żeby nigdzie nie wyjeżdżać przed nacierającym Wilhelmem, bo w swoim domu najlepiej. Święte słowa ich.

— Wyjechała wtedy na wschód prawie cała wieś. Zostało tylko osiem rodzin. Bołtryk roztaczał się po całej Rosji. Mój dziadek Wincko często opowiadał, jak to on był najpierw listonoszem, a później — zastępcą naczelnika poczty w Saratowie. Wspominał też — kiedy w domu się jadło czarny jak ziemia chleb — o

białych bułkach, które tam jadał zamiast chleba. A kiedy trzeba było się umyć w zimnym mieszkaniu — szła opowieść o ruskich baniach, miotłach i o kilkunastu szklankach czaju, które to dziadek wypijał po kąpieli w bani. Miałem wrażenie, że dziadek na moment odprężył się przy tych opowieściach, choć bez białych bułek, bani i czaju. Natomiast mało kiedy dziadek mówił o tym, że po kilku latach, o głodzie i chłodzie, podał tam, skąd wyszli. Wrócił wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy ułożyli ziemię rosyjską.

Wrócił. A tu burzany, piołuny, pokrzywy, dzidziące grusze i jabłonie, puste domy, chławy, stodóły. I mój głód. Zebry. Kartofle jedzone, a lupy z nich suszone, mielono i wypiekano, w ten sposób chleb. Bułek białych nie było. Dziadek nie lubił mówić o tym okresie.

Później, kiedy wywieziono najpierw naszych gajowców i leśniczych, a potem urzędników, nam też groziło wywiezienie, bo byliśmy bogaci, tzn. nie przynieraliśmy głodem” — wiersz o Maria Kretowska. Ale jak dziś pamiętam, jeden człowiek nieznanomy powiedział tak: „nie bójcie się, trzeciej grupy już nie wywieżą, bo „będzie droga mieczem przecięta” — powiada Sybilla. I tak było. Nie wyjechał. Przyszli hitlerowcy i znówu piekło.

Znam to z wielokrotnych opowieści o tym, jak ten terenach działał, i ukrywał się, partyzant z oddziału im. „Suworowa”. Ważne w tym

jest to, że ten partyzant był z Bołtryk. Niemcy wiedzieli o nim i wielokrotnie robili oblężenie we wsi. Wyginali mężczyzn, kobiety, podrostków, kto w czym był, na ulicę i przetrząsał wszystkie zakamarki. Bywało, że ludzie stali północy po kilka godzin na mrozie, pod ścianą. Szczęście dla wsi było, że nigdy go nie znaleźli.

Najbliżej zagłady była wieś, kiedy partyzant Kola zabił wieczorem na ulicy Bołtryk policjanta. Nie czekano na rezultat długo. O świecie wieś była otoczona. Gestapo przygotowywało się do wykonania wyroku. Chyba tylko kaprys komisarza z Jaiłowi ocalił wieś. Gestapowcy dali mu się przekonać, że tu mieszkają dobrzy ludzie, a tego policjanta nie ma co żałować bo to był Polak, a nie Niemiec.

Partyzant Kola wydawał tym, u których się ukrywał „sprawki” — zaświadczenia. Teraz, gdy przyjechał z B., gdzie zajmuje wysokie stanowisko, w odwiedzin do brata, nie przyniósł się do własnoręcznego podpisu na tych „sprawkach”.

W 44-tych hitlerowcy uciekając też namawiali mieszkańców do wyjazdu. Pytano gdzie? „Tam gdzie szklanka wody kosztuje pięćdziesiąt” — odpowiadał. Nikt się nie pokusił na wyjazd.

Front przesunął się daleko na zachód. Przyszli komisarze i zaczęli agitować za wyjazdem na wschód. Prośli. Namawiali. Babcia moja, która przed dwudziestu kilku laty przynierala głodem, dała odpowiedź stanowczą komisarzom i zarazem dziadkowi, które był był skłony do wyjazdu. Gdyby tam u was było tak jak dawniej to ówczesne. A tak nie pojadę. Dali spokój.

Tym razem dał się namówić tylko

brat dziadka i narzeczony jego córki. Dziś Bołtryki są na Kaukazie.

Ja to się wywozu nie boję i chociaż jestem grzeszną, to jednak Bóg wysłuchał mnie. Zawsze mówiłem do Jaska: niech wywoź na inną stronę. I tak stało się. Po wojnie granicę wytyczono w Jaiłowie. Zawsze myślałem: nasz rząd, nasze wszystko, więc teraz nigdzie nie trzeba się wybiegać. Ale jeśli pojedziemy, to już na zachód. Na wschodzie tuż granica.

Teraz dobrze, wygodnie. Starzy mają rentę, ale wywoz mnie nie cieszy. Młodym lepiej będzie w mieście, bo bez ziemi. A tu ludzie już czegoś oczekują, jakby sądzącego dnia. „Cisza na wsi jak przed burzą” — dodaje wnuczek poezją książkową. I nie ma już ani roboty, ani próżnoty. Na wsi już nie ma wesołości, nikt nie śpiewa, chyba że pijany.

A jeszcze, pamiętam, wieczorami chłopcy i dziewczęta śpiewali siedząc na ławeczkach smętne, białoruskie pieśni. Do dziś przypominam jedną z nich:

U subotu Janka jechau la raki Nad wadoj Alona myła ruczniak Padskazy Alona brody ziemiaku Dzie tut pierajechał na kan rak

Adczapisia chłopca jed aby kudy Nie muci mnie tolka czystaje wady

Michał Bołtryk

Exodus

U markocie Janka hatawoj panik Upuścił dziełka bieleńki ruczniak

Janka moją sakole pamaży chutczęj Oj pływaj, spływaj ruczniaczek

Milaja Alona, ja wady bajus Pacatuj spaczatku bo ja utapius

Supnyusia hniedy pad wiarboj kustoij Calowata Lena Janka nad wadoj Stala cicha, cicha pa usioj ziamij Pa race dalokaj ruczniak pływaj

A w oczach wtedy, i teraz, obraz Narwi, gdzie w letnie wieczory chodzili chłopcy i dziewczyny pływając.

Byłem chyba ostatnim pokoleniem uczestniczącym w śpiewach, które jeszcze nie wiedząc, że to był ostatni śpiew wsi, która się nazywała Bołtryk

Zmiany w tematyce pieśniarstwa przysłyły wraz z elektrycznością. Poprzedziły się najpierw monety. Z tymi piosenkami o nich. Śpiewano:

Na polach są stupy Na stupach przewody Zakochał się monter młody W dziewczynie z urody I dalej:

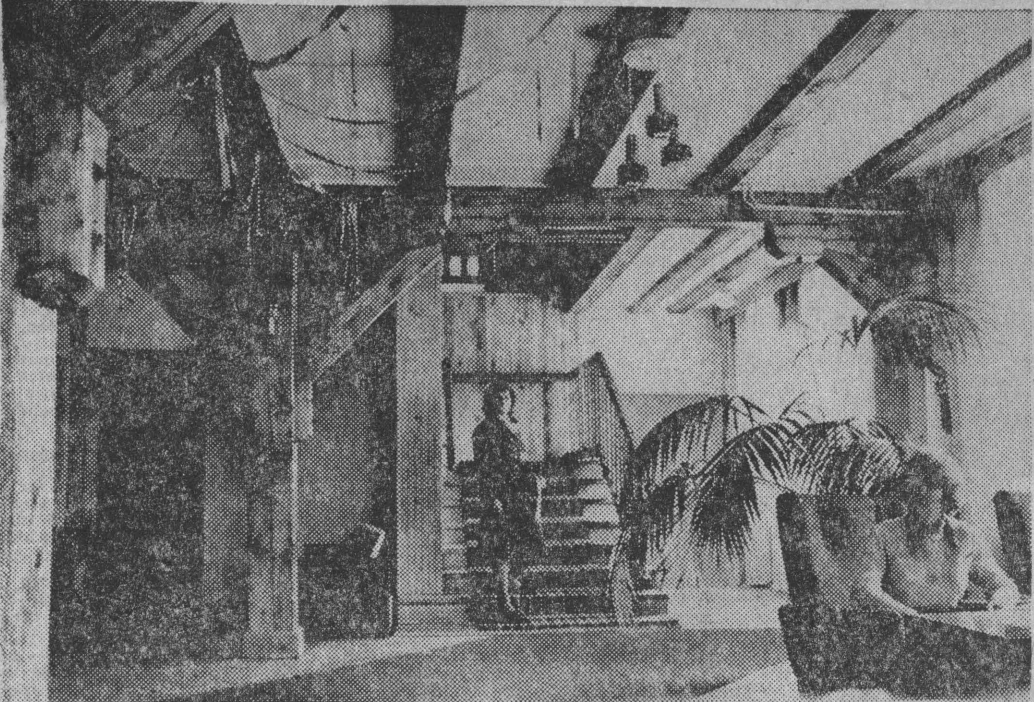
Dziewczyna piękna Za monterem poszła Nie minął rok jeno z kwartału Za górą za góręczką płacze monter młody



jeszcze wcześniejszy program? Tym razem w planach przyjeżdżających w końcu lat 60-tych, pod hasłem rekreacji i wypoczynku, mówiło się tak: „Plan zagospodarowania turystycznego przewiduje budowę dalszych 5 ośrodków wypoczynkowych typu lekkiego, 3 pól campingowych (350 miejsc), 2 stacje wodnych (120 miejsc), 4 stacje turystyczne (80 miejsc) oraz jednego ośrodka wypoczynku świątecznego”.

Koniec końcem w Goidapi trzeba było zejść z koturnów i zaprzestać wyprawy 250 milionów. Trzeba było rozwój drugiej — po rolnictwie — gałęzi gospodarki w regionie oprzeć na skromniejszych przyrządkach — 78 mln zł, jakie figurują w dziale kultura fizyczna i turystyka w „Programie przyspieszonego rozwoju miasta i gminy Goidap do roku 1985”.

Nie jest to zbyt wiele, zważywszy, iż potrzeby — jak zwykle — są jedynie częścią możliwości. Dlatego też, mając na uwadze, że założenie, trzeba będzie odwołać się do pomocy społeczeństwa i lokalnych zakładów. To wszystko „w celu zmniejszenia i rozbudowy bazy, aby spełniała ona tak na trzy z plusem



Zajazd „Pod Piękną Górą” czeka na gości...

nić zakwaterowanie wczasowiczom indywidualnym, nawet tych o kilkudniowym programie pobytu. Jak zapewniają corocznie przyjeżdżający tu goście, wypoczniesz w tej części kraju, tak odmiennej krajobrazowo od pozostałych regionów Polski, może być niebywała frajda. Starodrzewia Puszczy Rominckiej i Boreckiej, z wciśniętymi w doliny polo-

godniu uruchomiony zostanie trzeci, najdłuższy, bo liczący 150 m wyciąg, który wieść będzie spod zajazdu. W roku 1981, po drobnych poprawkach terenu, wyciąg ten wydłużą się do czterech kilometrów. Rok bieżący przebiegać będzie pod znakiem planowego zagospodarowania mierzącej ponad 270 m góry. Wybuduje się kilka

— Gdyby — mówi I sekretarz KMG partii, Andrzej Roszkowski — zechcieli w tym uczestniczyć dyrekcja, zakładów. Których ośrodków tutaj się znajdują, temat zakończylibyśmy znacznie szybciej. Tymczasem możliwości społeczeństwa, które dzielnie sekunduje akcji, są o wiele mniejsze, co — siłą rzeczy — wydłuża prace.

— Zakopane Północy

wymogi mieszkańców Goidapi i województwa” mówi naczelnik. W „Programie...” bowiem inne kryteria określiły wysokość lotu goidapskiej turystyki. Konkretnie zaś brak w dokumencie rzeczy najpotrzebniejszych — ustaleń co do budowy ogólnodostępnej bazy noclegowej. Hotele, zajazdy i moteli z pełnym zapleczem usług i o wysokim standardzie. Takiej bazy, za korzystanie z której gołowi się płacić goście krajowi i dewizowcy. Takiej, bez której — wstyd powiedzieć — nie ma co wychodzić na kraj ze słogiem bez pokrycia — Zakopane Północy.

Obecna ilość miejsc noclegowych jest mniej niż skromna. Na 460 miejsc, z których można korzystać przez cały rok — w ośrodkach ogólnodostępnych i na kwaterach prywatnych jest 280. Reszta w ośrodkach zakładowych, gdzie w ramach luzu, i w zależności od humoru kierownika, można znaleźć lokum. Z kolei z owych 280 miejsc turysty indywidualni mają prawo do nie więcej niż 40-50 miejsc. Pozostałe, na długo przed zimą, wykupili rady zakładowe, obozy, kolonie, organizatorzy kursów konferencji.

W tej pół setce miejsc (co najwyżej!) kryje się odraz na pytanie, dlaczego turystyka zimowa w Goidapi długo jeszcze będzie na etapie dorastania. Coś tam można by było przyspieszyć. Co do tego nie ma absolutnie żadnych wątpliwości. Bo też być ich nie powinno, kiedy miejscowe władze i gestorzy od turystyki domagają się dalszych 500-600 miejsc w bazie ogólnodostępnej. Dopiero rozwiązanie tego problemu pozwoliłoby zapew-

downiczym jeziorom, są idealnym miejscem do pieszych wędrówek i narciarskich zjazdów. Dla koneserów białego szaleństwa kilkanaście gór w najbliższej okolicy, z których najbardziej znana jest właśnie ta — Piękna Góra, nie opadał miasto. Na niej to zamierza utworzyć się główne centrum narciarstwa nizinnego i sportów zimowych w północno-wschodnim makroregionie.

Aktualnie udostępnione są dwa wyciągi: zaczepowe oraz tzw. mała kroszka do skoków. W przyszłym tygodniu uruchomiony zostanie trzeci, najdłuższy, bo liczący 150 m wyciąg, który wieść będzie spod zajazdu. W roku 1981, po drobnych poprawkach terenu, wyciąg ten wydłużą się do czterech kilometrów. Rok bieżący przebiegać będzie pod znakiem planowego zagospodarowania mierzącej ponad 270 m góry. Wybuduje się kilka

Tak więc warunek jeden i podstawowy, kiedyś mówi się o zimowej turystyce w Goidapi: baza hotelowa i „uzbrojenie” Pięknej Góry. Sfinalizowanie tych tematów to nie innego niż to co powiedziała o zamierzeniach polskiej turystyki przewodnicząca GKT — Teresa Andrzejewska: Wspólnie z wojewodami w najbliższych latach będziemy dążyć do usuwania tych niedostatków. Goidapskie niedostateki winny być rozwiązane w pierwszej kolejności.

ANDRZEJ GAWĘC

Od tego obiektu (na pierwszym planie) biegi będzie wyciąg na szczyt góry (w tle). Fot. Zdzisław Lenkiewicz

Co prawda w ciągu najbliższych kwartałów mały monter nie pokaże, ale dziewczyna z Bołtryk czekała i to. Pierwsze dziecko niesłubne, po paru latach już ślubne, było ciemem dla całej wsi. Mówiono o tym nawet w Białymstoku — oczywiście dawni mieszkańcy Bołtryk. Później pospłyły się inne dzieci niesłubne, ale to były już mniejsze wydarzenia.

Gdyby teraz we wsi ktoś zaczął śpiewać, będąc trzeźwym, niechybnie byłby okrzykiem głupim. Zresztą, teraz jeśli słyszy się jakąś piosenkę na wsi, to tylko taką i to śpiewaną zazwyczaj w duecie, wiadomo w jakim stanie.

Jak pić to stare wino
Co ma ze dwadzieścia lat
Jak kochać to tylko dziewczynę
Co ma szesnastkę lat

z refrenem:
Niech żyje nam rezerwa
Przez szereg długich lat
Gdzie rezerwy pija
Tam zawsze wódki brak.

I tak w kółko. Kto by pamiętał stare, niemożliwe pieśni i po co.

Królewska mieszka u swojego bratanka. A bratanek Ziutek — najbogatniejszy gospodarz w Bołtrykach. Zeby ogrodzić swoje siedlisko, Ziutek musiał postawić nie mniej niż kilometr płotu. Parkan z olśniewających, sosny. Słupki betonowe —

wieczne. Nie postoją w tej ziemi długo. Budynki też najlepsze w całej wsi. Stąd Królewskiego wycena rzeczoznawców nie zadowala. Z budynkami Królewskiego graniczy kłódki. Długo jego stół w piecu podwórka. A dookoła chałupy różne krzewy i drzewa, ale nie owocowe — a to oliwa, osika, to jesion, brzoza. Zawsze mi przypominał tajemniczy dom kozaka Bułaja z Zakłętego Dworu. Ulubionym zajęciem Fiedora była gra przez całe noce w karty. Zaś latem rano — na ranki, jak się tu mówiło — tak jak i wszyscy jechali na koniu na pastwisko. A tam dyskusje. Czym byłoby pastwisko bez Fiedora. Znano go. Zazwyczaj stawało dwóch dyskusantów w szranki z Fiedorem. Jeden oponował, a drugi popierał Fiedora. Fiedor też znał tę konwencję, ale w ferworze zatracił się i tak się kłócił, tak dochodził swego, że kiedy słońce zbliżało się do godziny ósmej Fiedor, od dyskusji, zapadał na chorobę. Z nerwów zaczynał boleć mu (go) żołądek. Przychodziła żona i zabierała go do domu. I tak niemal codziennie.

Do nas — chłopów szkolnych — był wyjątkowo uprzedzony, bo miał w swoim sadzie smaczne gruski i wiedział, że mi im zagrażają. Kiedy się wyniósł do syna, dożywał starych lat, sad należał do nas. Ale Fiedor nie był skory rezygnować. Raz, gdy bez zbytejnego frasunku rwałł mi jeszcze zielone gruski, których zauważył wystające buty gumowe ze strychu na chlewieku. Po chwili nas tam już nie było. Pama na wies poszła, że Fiedor pilnuje sadu. Tak trwało do

czasu, gdy ktoś nieopatrznie rzucił dużym kamieniem w te buty. I nic. I jeszcze raz. To samo. Sprawdził. Wystające buty gumowe były nowe, dalej worek wpychany sianem. Fiedor nas przechytrzył. Ale teraz gruski były nasze. Niedługo tym cieszyliśmy się. Po kilku latach ogród bez żadnej opieki zdziczał, a drzewa owocowe, za naszą przyczyną, były już prawie bez gałęzi. A poza tym beznamiętnie gruski nie nęciły nas. Kiedy robiono komasację siedzibę Fiedora przyłączono do podwórka tysiaka. A dziś sołtyś, głowa wsi, jest już prawie nietutejszy. W opinii wsi nasz sołtyś nie jest już żadnym gospodarzem-rolnikiem bo: sprzedał sianie, konia, chomąt. Bez tego nie można gospodarzyć. W Bołtrykach ma jeszcze parę prosiaków, krowę, cielę, kury i zinę z małymi dziećmi. Sam przebywa więcej w Białymstoku, gdzie musi opalać swój dom, który tam niedawno kupił. A na wiosnę i zimą pewnie wyjedzie.

Ładzik Aleksiejew, Włodzimierz Borowski już nianający wnuki, też wybiera się do miasta. Z trzema synami będzie budować w Białymstoku. — Tu hektar — mówi — zabierają ode mnie za 10 tys. zł, a w mieście mi sprzedają za 300 tys. złotych. — Więc po co do miasta iść — pytam. — Oni też proponują nam gospodarstwa opuszczone w sąsiednich wioskach. Ale jak to: ci ludzie wychwalali uciekli nie mając żadnej okazji, a ja mam tam iść? A za jaką karę, pytam się? A jak coś się zmieni (za mojego życia wiele już się zmieniło) to

on, ten gospodarz, wróci i wtedy gdzie ja pójdę? A w mieście co innego, jeśli wygonią to wszystkich, a nie mnie jednego. — W Bondarach, zaraz za zalewem, będą też budować bloki. — Tam nie pójdziemy. Nawet siłą nikt mnie nie zmusi do tego. Bo w Bondarach żadnych dostaw nie ma. Chleba czasami brakuje teraz, kiedy jeszcze większość ludzi wypieka sobie. A co będzie później, kiedy zaczną kupować wszyscy. Na przykład jak piekarnia w Michałowie się zepsuje, to co wtedy? W Białymstoku, choć w kołeczce postoję, ale chleba dostanę. Tam przynajmniej tego nie zabraknie. — Co weźmę ze sobą? Torbę, żeby na starość było z czym chodzić jak zajdzie potrzeba — powiada Ładzik z uśmiechem.

Patrz na ikonę w rogu kuchni. Ciekawe, czy jest to pozostałość — zastanawiam się — po dziadku Ładzika, Aleksandrze zwanym Aleksiejem, który miał ciele ściany w ikonach. Przed ikonami większość dnia spędzał na modlitwach. Wystarczyło wejść do niego do domu w czapce, by się narażać na określenie chamunisty. Ba, wypędał nawet z krzykiem takiego bezbożnika z domu. Powiadał też wszystkim, że za to zepsucie obyczajów wydzie woda z rzeki i zaleje wszystkich dookoła. Modlił się nawet o to, by woda zniszczyła tę rozprzestrzeniającą się rozpustę. Jego syn, dziadek Stiepan, ojciec Ładzika, istnieje w mej pamięci nieodłącznie ze szkołą. U Borowskich, w drugim domu na podwórku obok domu zamieszkałego przez nich, była szkoła. Dziadek pojawiał się na boisku szkolnym zawsze z batem. I to w najmniej odpowiednim dla nas momencie.

Tonące miasta

Legenda o zatopionych miastach oddziaływała na wyobraźnię archeologów i historyków. W ostatnich latach znaleziono ruiny zatopionych miast u wybrzeży Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. Szczególnie wiele antycznych ruin znajduje się na dnie Morza Czarnego. Dawne kolonie greckie — porty i ośrodki handlowe — na wybrzeżach Kaukazu i Krymu znoszący dziś na dnie morskim. Przyczyna zatopienia stały się ruchy tektoniczne oraz zjawiska tzw. osuwisk. Wiele miast miało na podłożu wulkanicznym. W Krimu narażono się w wodach morskich w wyniku trzęsień ziemi. Stąd zatopionych miast znaleziono ostatnio u wybrzeży bałtyckich.

W ostatnich latach archeolodzy zainteresowali się Morzem Kaspijskim. Przyczyna zatopienia stały się ruchy tektoniczne oraz zjawiska tzw. osuwisk. Wiele miast miało na podłożu wulkanicznym. W Krimu narażono się w wodach morskich w wyniku trzęsień ziemi. Stąd zatopionych miast znaleziono ostatnio u wybrzeży bałtyckich. Ruchy te są bardzo powolne i ich efektu mogą być widoczne dopiero za kilka tysięcy lat. W szybszym natomiast tempie tonie Wenecja. Miasto zbudowane na bagnach i w lagunie, wśród wielu wysp i 180 kanałów zapada się w ciągu roku 5 mm. Po prostu grunt nie wytrzymał obciążenia zabudowy miejskiej. Tak więc, jeśli nie zostaną podjęte radykalne środki, za kilkanaście lat Wenecja może stać się kolejną sensacją archeologiczną — jako zatopione miasto.

(PAP)

KLUB MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻKI

MOJA BIBLIOTEKA

Felietony

Niemal każdy czytelnik lektury tygodnika, zaczyna od ostatniej strony, a więc od miejsca, które od wielu lat zastrzegł sobie felietoniści. Co takiego tkwi w tych krótkich, figlarnych tekstach, że wydawane potem w zbiorze się bestsellerem? Rozważaniom na temat felietonu, jego isioły i zadziwiającej popularności poświęcono już wiele szpał i audycji telewizyjnych. Wypowiadali się najwybitniejsi felietoniści i właściwie żaden z nich nie potrafił udzielić konkretnej odpowiedzi. Wiadomo, że jest to najbardziej osobista forma wypowiedzi dziennikarskiej, znana od wieków, dzięki której autor może dać upust swoim najbardziej subiektywnym upodobaniom i refleksjom.

W ślady Prusa, bo on wszak uchodził za ojca współczesnego felietonu, poszli dzisiaj dziennikarze, którzy na co dzień — jak sam Prus — zajmują się w zasadzie czym innym. Sprawy, które trudno zmieścić w reportażu czy publicystyce, jakiegoś odpady wykreślone ręką samego autora, stają się nagle doskonałym tworzywem felietonu. Problemy bardzo często mało ważne, otoczone osobistą otoczką dywagacji, to właśnie przysłowiowa woda na młyn. Jeden ze znanych dziennikarzy powiedział kiedyś, że dobry felietonista zobaczy na ulicy porzucony but i ten fakt powinien stać się tematem dobrego felietonu. Jest to poza tym gatunek, w którym jest albo bardzo doskonałym, albo naśladowcą. O powodzeniu wśród czytelników decyduje bardzo osobiste i oryginalne podejście do poruszanych tematów i stopień złośliwości, który tak miłe widziany jest w naszej — i nie tylko — prasie. Michał Radgowski, Hamilton, Krzysztof Teodor Toeplitz, Daniel Passent, Andrzej Oseka, to tylko niektórzy z tych najlepszych, którzy mają swój własny, niepowtarzalny i nie do podrobienia styl. U Radgowskiego felieton jest powiastką filozoficzną, Hamilton buduje swoje teksty na erudycji i piekielnej złośliwości, KTT — a wiedzy i inteligencji, Passent na obcym w świecie, Oseka na osobistym stosunku do sztuki itd.

Zbiory książkowe felietonów znikają szybko i to też jest niepojęte, bowiem ten gatunek opiera się na aktualności. Dzisiaj proponujemy kilka zbiorów felietonów najznakomitszych piór, które wprawdzie ucałowały się przed kilkoma miesiącami, ale w niektórych księgarniach można je jeszcze dostać.

Andrzej Oseka: Coś się kończy, coś się zaczyna. Czytelnik, Warszawa 1979 r., s. 282, zł 36.

Kolejny zbiór felietonów i esejów recenzenta plastycznego „Kultury” zawiera kilkadziesiąt tekstów publikowanych w tym tygodniku. Autor zajmuje się tu sprawami malarstwa, rzeźby, architektury, jak również sprawami estetyki naszego życia codziennego. Spora erudycja pozwala mu na swobodne obracanie się wśród zagadnień czasem bardzo odległych dla przeciętnego czytelnika. Oseka zwiędza świat, ale — jak rasowy felietonista — dostrzega również koszarne neony i szylidy na sklepach. Nie zawsze można zgadzać się z jego poglądami na jakiś konkretny temat, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy, które znamy z autopsji, ale tak chyba powinno być, przynajmniej jeśli chodzi o ten gatunek dziennikarstwa. Tym różni się od innych autorów, że nawet opinie bardzo kontrowersyjne wypowiada z wielką pewnością siebie, i ma się wrażenie, iż te opinie potrafi obronić. Poza tym felietony Oseki niosą ze sobą duży ładunek informacji.

Krzysztof Teodor Toeplitz: Mówienie do siebie. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979 r., s. 298, zł 25.

Kolejny autor z ostatniej kolumny tygodnika „Kultura” i kolejny typ felietonu. W audycji telewizyjnej „XYZ”, kiedy to bohaterem okazał się KTT, Zygmunt Kałuziński powiedział, że nie ma sensu zadawać mu pytań, bowiem jest to człowiek,

Zawsze przyłapywał nas, 10-letnich chłopków, jak w piaskownicy-skożni przewracałmy nasze koleżanki, by zarżnąć im pod sukienkę. Bat siedzi w ruch. Dziadek Stiepan był ponad szkołą, nauczycielem, woźnym.

Obok Borowskich żył przed laty Mikołaj Bołtryk — przypomniał Włodzimierz Bołtryk — który często na ulicy napałował gospodarzom, że kiedyś był potop. A do zepsutej młodzieży mówił, że będzie znów w przyszłości potop. „Wy jeszcze doczekacie” groził nam — snuje wspomnienia ówczesny „zepsuty” młodzieniec, a dziś — poczytany staruszek Włodzimierz Bołtryk. Dziadek jeszcze do dziś pamięta dwuwiersz Mikołaja:

Przytlił dziady nie znał biedy
Pazywot wnuki zazywot muki

Dziadkowi wydaje się, że dożył tych czasów, chociaż ma rentę, i już emeryt, i dziwi się nad przenikliwością niedziśniejstych starców.

Dziś nie ma już takich ludzi i być nie może — mówi dziadek — bo u każdego w domu telewizor. Ludzie nie zbierają się posiedzieć na ławce ani też w wieczory zimowe u kogoś w domu, żeby pohutaryć. Kiedyś, przed telewizorem jeszcze, babi zbierały się, szczególnie zimą, przed świętami i opowiadali różne bajdy. Po świętach wstawiano krosna i tkano. Tak aż do wiosny.

Meżczyźni też mieli upatrzone chaty, gdzie się zbierali wieczorami i grali w karty. Jak napalą — wspomina dziadek — to aż sufit podnosił się do góry od tego dymu. Jedni grali, drudzy opowiadali, przekazywali prośbą swoich dziadków. I tak co wieczór, przez całą zimę. Teraz można ko-

goś spotkać na ulicy jak przemąca się do susieda na telewizję i nie może spóźnić się, bo film.

O, jeszcze nie tak dawno nasz susied J. Chren — wtrąca stara Babiorka (tak ją nazywają, bo z Babi-góry) — przestrzegał wszystkich, każdego roku, przed zbliżającą się wojną. Zawsze miało to być pod jesienią. I napominał kobiety, żeby jak najwcześniej wykopywały kartofle bo już, już to nastąpi. On wykopywał swoje najszybciej, gdyż miał zawsze mało. I czuł się spokojnie, znając na niebie, zbliżającą się wojnę. Ale kiedy dobiegł się do zalewów, zaczął tego się bać bardziej niż przepowiadanej przez siebie wojny. Mówił już tylko o wysiedleniu ze strachem.

Nie doczekał. Jeśli chodzi o korzyści z wyjazdu, to dziadek wyjaśnia prościej: „Na miejscu nawet i kamień obrasta mchem, a jak zaczniesz go przewracać, to stanie się goły, jak woda obmyła”. I tak z nami będzie. My ze staruchą do Michałowa. Lepiej, żeby nas stąd nie wyrzucił, ale naprzeciw prawa nie można iść, więc wyjedziemy. Tu było dobrze — zakuli świnie na święta i jedz, a tam trzeba kupić. Ale jak w bloku posadzą, to przynajmniej opatu nie trzeba. Kupisz co nieco i tak będziemy siedzieć tam.

Z początku mówili, że tylko Budy wysiedla — wtrąca Babiorka — a teraz i nas też. O, Boże! Oni chyba cały świat zabiorą pod ten zalew. W domu staruszków-rencistów, kręśła z mikiem siedzeniem stoją rzędem przy piecu, przykryte kocami. Robią wrażenie spakowanych i przygotowanych do drogi. Czują się atmosferą tymczasowości.

e.d. w poniedziałek

RELAKS

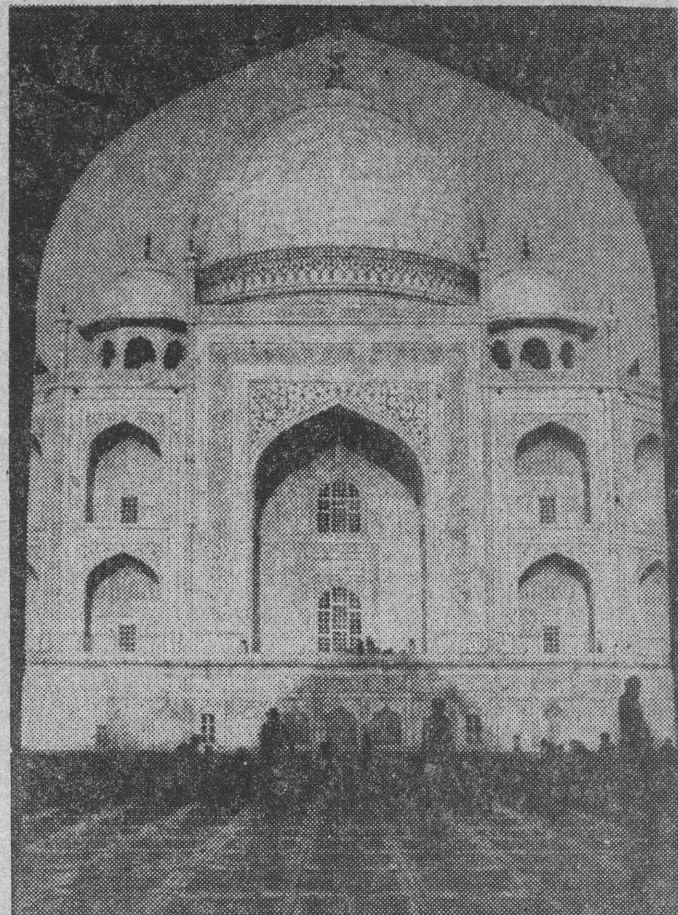
O wielu lat intrygująca zagadką dla uczonych są tajemnicze rysunki na płaskowyżu Nazca w Peru. Wyszukiwano wiele hipotez próbujących wyjaśnić znaczenie gigantycznych wizerunków zwierząt. Specjaliści próbują odpowiedzieć na pytanie, w jakim celu wyręto w skalnym podłożu podobny jaszczurki, żmii, pajęka, małpy i psa? Rysunki te, o wymiarach od kilkuset do kilku tysięcy metrów, są nieczytelne z powierzchni ziemi, ale doskonale widoczne z powietrza. Dotychczas największej zwolenników zdobyła teoria, że rysunki są rodzajem gigantycznego kalendarza.

Za pomocą komputera dokonano bardzo dokładnej analizy wizerunków zwierząt. Rozłożono je na poszczególne elementy i pojedyncze linie. Okazało się, że z 186 oddzielnych linii tylko 39 wskazuje kierunek Słońca i Księżyc. Zbadano powiązania tych

Znaki dla bogów i tajne świątynie?

Rysunków z innymi gwiazdami, uwzględniając zmiany ich położenia w ciągu ostatnich 7 tysięcy lat. Okazało się, że załóżmy 6-7 linii pasuje do położenia gwiazd. Tak więc nie potwierdzono żadnych astronomicznych powiązań tajemniczych rysunków. Wyszukiwano również hipotezę, że wielkie wizerunki zwierząt nie są ziemskiego pochodzenia. Mają być znaki, albo jakieś zaszyfrowane informacje pozostawione przez przybyszów z Kosmosu. Niedawno przeprowadzono szczegółowe badania archeologiczne na płaskowyżu Nazca. Prawdziwa rewelacja: było znalezienie ok. 20 tys. glinianych naczyń, datowanych na początek naszej ery. Rysunki również pochodzą z tego samego okresu. Na glinianych naczyniach znaleziono podobne motywy co na skalnym płaskowyżu. Wynika z tego, że rysunki miały charakter kultowy, a cały płaskowyż spełniał funkcję gigantycznej świątyni. Tu prawdopodobnie składano ofiary i oddawano cześć bogom. Gigantyczne rysunki zwierząt mogą symbolizować siły przyrody, lub stanowić symboliczne wyobrażenia bóstw.

Archeolodzy zwrócili uwagę, że podobne wielkie wizerunki na powierzchni ziemi spotyka się także w Ameryce Południowej. W USA, w stanie Idaho, znaleziono cały kompleks gigantycznych figur przedstawiających kobiety, żmii i psa. Figury te wykonano w formie nasypu. W stanie Ohio jest gigantyczny nasyp przeszło 400-metrowej długości w kształcie żmii. W Georgii znajduje się nasyp przedstawiający ptaka o 40-metrowej rozpiętości skrzydeł, a w Pensylwanii — ziemny wał układający się w sylwetkę człowieka-olbrzyma. W ten sposób — jak sądzą uczeni — dawne plemiona ukrywały swoje świątynie i znaki plemienne. (PAP).



Historia tej pięknej budowli łączy się ze smutną historią i pięknej królowej Muntaj Mahal. Dla niej to właśnie wykonano w Agrze grobowiec — mauzoleum, który

przyciąga swą piękną tysiące turystów z całego świata. Budowę rozpoczęto zaraz po śmierci Taj, tzn. w połowie XVII w. Ciągnięła się przez 20 lat, pracowało przy niej 20 tys. robotników. Szach Jehan bardzo kochał swą żonę i nie szczędził na grobowiec pieniędzy. Lista materiałów budowlanych, która zachowała się do dziś, zawiera takie pozycje jak: 625 diamantów, 97 topazów, 74 szafiry — marmuru i złota nie liczone. Nieoczekiwany problem powstał ze zdobyciem rąstawał szpecących — dawno ukończonych dzieł. W pewnym momencie zdenerwowany szach Jehan powiedział: „pośpieszcie się u licha z tą całą sprawą a rusztowania i resztki materiału budowlanego zabierzcie sobie”. Definitywne zakończenie uspaniałej budowli trwało... 1 dzień. Cudo z białego marmuru, złota i diamentów błysnęło pełną krąg. CAF — AP

Oto trójkołowy samochód, Budweiser Rocket Car, wyposażony w silnik o napędzie odrzutowym, mocy 48 tysięcy koni mechanicznych (!), na którym 17 ubm. przekroczona została bariera dźwięku. Kierowca Stan Barrett osiągnął szybkość 199,961 km/godz. CAF — AP

ROZMYŚLANIA PRZY ŁOWIENIU

Jak pan może?

„Jest taka wloska frazka Witolda Deglera pt. „Wstydliwa i kobieciarz”. — Jak pan może? — Jak? Niegorzej...”

Frazka ta, acz nie wdękarska, pasuje do różnych sytuacji, a szczególnie jako motto noworocznego polikarpka.

Związek z okazji Nowego Roku dokonujący tartobliwego podsumowania swojej działalności wdękarskiej i publicystycznej. Czas z tym sobie kosztu ekonomicznie. Czas podsumować innych! Będziem, jak potowidzi pewna unowocześnieć dyrektor pełnej jeszcze bardziej uroczystości. Jeśli nie może być lepiej, niech będzie przynajmniej inaczej!”

Zatem w tym roku inaczej.

Ponad dwa lata temu wyrażałem się krytycznie o metodach połowu agregatem elektrycznym, który zamiast ogłuszać, zabija ryby, w tym miniaturowo drobny i narybku (tam widziałem, inni też). Felieton ten obruszył do tego stopnia pełną dyktęję Państwowego Przedsiębiorstwa Rybackiego, że wysłano do redakcji list z pozycją „jak pan może”. Jak pan może składować dobre imię przedsiębiorstwa, nie doceniać trudu rybaków, którzy z narażeniem życia i zdrowia, tudzież z pełnym samozaparciem realizują narodowy plan zaopatrzenia rynku w rybie (czasem niewymiarowo — o czym potem), podważać zaufanie do nowoczesnego sprzętu technicznego itp. Okazuje się, że może i to niegorzej... W kilka miesięcy później Wysokie Czynniki zakazały tej metody połowu. Nie chcąc być złośliwym i podskakiwać z radością, a jednak miałem rację, gdyż nie byłam to szej krytyce odesłano mi pierwszy

przjęcie towru pracownik przekazuje sprawę odpowiednim organom do ścisłego nadzoru gospodarczego odsyłając jednocześnie towar i powrotem, żeby nie zdemoralizować społeczeństwa widokiem niewymiarowych ryb w sklepach. Ma przecież do tego prawo już widzę... (Jak pan może?)

Jak pan może, panie Polikarpe, z okazji Nowego Roku także gorzkie rozważania snuć, nudzić przy tym trąd, złość w sobie gnieść, aż odczochodzi chęć do wszystkich, nawet do życia? A może, bo właśnie chcę wznieść toast noworoczny za pomyślne połowy dużych ryb nie tylko wdękarsom, ale także rybakom, którzy tak przestrzegania praw ustanawiających przecież dla dobra obywateli, przestrzegania przez wszystkich. nie tylko przez wdękarszy.

Wien oby rok 1986 był rokiem „uakli” o dużą rybę czyli rokiem porządnego zarybienia, nieodławiania ryb na tarłiskach, wypuszczania niewymiarowych oraz rokiem odpowiedzialnej przeżności odpowiedzialnych czynników stojących na straży przestrzegania praw ustanawiających przecież dla dobra obywateli, przestrzegania przez wszystkich. nie tylko przez wdękarszy.



Rys. B. Jaroszewicz

Czasem w pismach filatelistycznych, zwłaszcza zachodnich, spotkać można ciekawe, ale zarazem nieco dziwne ogłoszenia. Oto w angielskich miesięcznikach „Stamp Magazine” i „Gibbons Stamp Monthly” oraz tygodniku „Stamp Collecting” znalazłem kilka ogłoszeń pod wspólnym tytułem „Oferujemy do sprzedaży”, Czytelnik mało zorientowany w upodobaniach filatelistów może w tym



miejsu zapytać: a cóż to za anonsy reklamowe? Przecież każdy zdrowo myślący człowiek chce nabywać towary dobrej jakości. U nas i gdzie indziej. Czyżby Anglii, znani z przywiązania do tradycji, byli aż tak konserwatywni, że kupują towary z błędami?

Tu chciałbym czytelników uspokoić. Polscy filatelici również należą do namiętych łowców wszelkich błędndruków. Chodzi oczywiście o znaczki z pomylnymi kolorami, szczególnie rysunku, pozbawionymi napisów itp. Tak się składa, że każde potknięcie druka-

Dla przykładu porównajmy tylko ceny nominalne kilku znaczków wydrukowanych bez błędów z cenami podobnych znaczków z błędami:

■ znaczek z 1976 r. z perforacją kosztuje 6,5 pенса, bez perforacji 200 funtów;

■ znaczek z 1973 r. z wszystkimi kolorami 3,5 pенса, z pomylnymi kolorami (niebieskim, zielonym lub czerwonym) od 2 do 240 funtów;

■ tenże znaczek z normalną perforacją 3,5 pенса, bez perforacji 210 funtów;

Zbigniew Waydyk MYŚLI NIESFORNE

Dla używających permanentnie rekwiytu maski, karnewalowy kamuflaż trwa przez cały rok.

Małuczkę a będzimy się ustawiać w kolejce po własną osobowość.

Najtrudniejszy steeple chase: forsowanie mózgów z wodą sodową.

Najbardziej jesteśmy do własnej dyspozycji.

Nie przestajmy samych siebie. Historia nie będzie w stanie dostarczyć nam odpowiednio dopasowanych garniturów.

Kult jednostki, kult kolektywu... A kult człowieka?

Pobożne życzenia realizują się często w sposób autentycznie bezbożny.

Zmęczeni sobą, męczą dla relaksu innych.

Nie należy zapominać, że dreszcze nieśmiertelności są przywilejem li tylko śmiertelnego ciała.



NA ZDJĘCIU: Z okazji 100 rocznicy śmierci Sir R. Hilla pocztą angielską wydana seria okolicznościowych znaczków.

■ znaczek z 1971 r. z wizerunkiem głowy królowej 7,5 pенса, bez głowy królowej 32 funty.

Jak widać ceny błędndruków w porównaniu ze znaczkami bezbłędnymi są znaczne, sięgające 200-300 funtów, chociaż pochodzą z lat siedemdziesiątych. Z ogłoszeń wynika, że największe błędndruków związanych jest z... głową królowej (Queen's Head).

I tu wyjaśnienie: na każdym znaczku angielskim obowiązkowo musi być wizerunek króla lub królowej. Wygląda to czasem

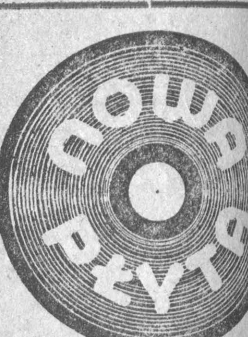


W Japonii ożyło się w ostatnich latach zainteresowanie klornetą. W mł. dawnymi instrumentami muzycznymi i stylami regionalnymi.

Tony Scott

Niezwykle rzadko zdarza mi się polecać w tej rubryce płytę jazzmanu o światowej renomie i to płytę dostępną w naszych sklepach. Najczęściej dzieje się to za sprawą firm naszych sąsiadów: Niemców, Czechów czy Węgrów. Tym razem płyta ukazała się w „Supraphonie”, a z towarzyszeniem czeskosłowackiego zespołu „The Traditional Jazz Studio” gra znany amerykański saksofonista i klarnecista Tony Scott. Pierwsza strona krążka zawiera kilka standardów (Sweet Sue, czy Royall Garden Blues), druga natomiast kompozycje członków zespołu — samego Scotta. Pierwsza jest typowa dla elementów epoki Swingu. „TJS” to bardzo typowa grupa tradycyjna, której członkowie w zasadzie nie wyróżniają się niczym szczególnym, zaś Scott, nie czując przy sobie doskonałych partnerów, również nie wkracza na szczyty doskonałości.

Przy okazji kilka słów o tym znanym muzyku. W latach pięćdziesiątych Nat Hentoff napisał o nim, że jest to: „nieszczęśliwiej, współczesny klarnecista”. Swoją karierę rozpoczął od współpracy z takimi gwiazdami jak Buddy Rich, Ben Webster czy Trummy Young. Aranżował dla Sarah Vaughn i Billy Holiday, grywał z bopowcami w słynnym klubie Mintona. Zajmuje się po-



nadto wieloma innymi rzeczami: uczy młode pokolenia muzyków, nagrywa muzykę (wraz z grupami różnych rodzajów, pisze muzykę do filmów itd. Tony Scott współpracował z czechosłowackim zespołem na festiwalu w Montreux, następnie zaplanował grupie wspólną tournée. Musiało ono spaść korzystnie, skoro Scott zdecydował się na nagranie płyty.

Najciekawsze, i najbardziej banalne — jeśli chodzi o wykonanie — są tu dwa stałe utwory, kompozycje Tony Scotta: Scott's Blues For Charlie Parker. W pierwszych z nich słychamy go również w interesującym wokalistycznym prezentującym typ humoru muzycznego. Dzięki technice play-back Scott gra tu jednocześnie na saksofonie tenorowym i klarnecie, prowadząc równocześnie linie melodyczne. Jest to ciekawe, jak jeden człowiek sam ze sobą rozmawia przy pomocy instrumentów. Komu warto polecić tę płytę? Na pewno miłośnikom jazzu tradycyjnego, subtelnej, swingującej muzyki. Konsekwentnie nie przyniesie raczej jego zadowolenia.

JACEK GRUB



Propozycje na karnewal: z Paryża i Londynu.

CAF

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) tylna straż oddziału lub armii, 5) malowidło ściennie wykonane na tynku farbami mieszanymi z wodą, 8) na powiecie lub na wodzie, 9) kobieta zrywająca życie otoczeniu, 11) szata, 13) samochód osobowy ze składanym dachem, 16) maszyną tartaczna, 17) reprezentacyjny piłkarz polski, 18) kutykula, ale bardziej swojsko, 21) zwierzę lub choroba, 23) mieszkanka np. Egiptu, 25) zawiadomienie adresata o nadejściu przesyłki, 27) należy do budowlanych, 28) krowa dla Hindusa, 30) mecz dwu lokalnych drużyn, 34) afisz, 36) zaliczka na poczet należności, 38) czas, w ciągu którego trwa wymowa głosek, 39) rów obciążniczy, 41) każdy z nas otrzymał je po urodzeniu, 43) cela dla jednego więźnia, 47) meczy we śnie, 48) Kozak doński, przywódca powstania w latach 1669-1671, 49) cznie miejsce Achillesa, 50) przepływa przez Monachium, 51) smerkarz, chłystek.

PIONOWO: 1) mierzona w jednostkach sześciennych, 2) córka spirytysty, 3) dryblas, 4) do wyrwania gwoździ, 5) przewinięcie na boisku, 6) śmietanka towarzyska, 7) ptak z dawnego przeboju Piotra Szczepanika, 10) społeczność religijna, 12) element konstrukcji budowli lub nazywana wojskowa, 14) część piasku, 15) malowidło, 19) gorsza ceza, 20) tematyka miłosna, 22) państwo w pld. Azji, 24) wśród instrumentów perkusyjnych albo w betonie, 26) pierwiastek chemiczny o symbolu Y, 29) u-branko niemowlęcia, 31) szal futrzany, 32) kotka, 33) chodzik z szopką lub gwiazdą, 35) zna się na winie, 37) „bojaźliwe” drzewo, 40) postać, 42) maziwota pozostałość po destylacji ropy naftowej, 44) materiał dekarski, 45) żywe srebro, 46) schodki na staku.

LESZEK

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 9”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 4

POZIOMO: stawka, kubrak ordynat, opieka, anatomia, riał, akord, Akan, tęcz, slang.

Koprowski, piętro, prałat, rebella, akapit, Swarog, adamaszek, piana, kalia, laka, ceber, bieg, ogryzek, nadawca, alopata, arnika, armata.

PIONOWO: sport, aliaż, koń, arka, kand, uta, rzeka, klang, dakar, narów, Piecio-książ, elekt, talia, manganowiec, corrida, skrawek, poeta, oca, Spisz, Panay, Akaba, mleko, scena, płoża, akron, Liwia, agawa, cela, rata, Zak, dar.

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 291 z 29 grudnia 1979 r. nagrody książkowe wylosowali: Irena Reimer z Łomży, Halina Grygolec z Białowieży, Tadeusz Żywicki z Wysokiego Mazowieckiego oraz Barbara Todorczuk i Leszek Kulesza z Białegostoku.

Hasło krzyżówki noworocznej zamieszczonej w „Gazecie” nr 292 brzmi: „Powitanie Nowego Roku”. Za prawidłowe podanie tego hasła, na grody książkowe wylosowali: Marcin Karolczuk z Suwałk, Mirosława Bakier z Grabów, Marek Mackiewicz z Suwałk, Wanda Grauluz z Gódnego, Janusz Wawrzyniuk Siemiatycz.

Nagrody prześlemy pocztą.

